

NASZE ŻYCIE

Miast wzajemnego
zwalczania się —
jedność myśli
Karlis Ulmanis

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok II

Ryga, 15 listopada 1936 r

№ 47



*ostatnio
coraz bardziej
współpracuje z
Lotyżami w celu
złoty, pieniądza
wzrostu*

1918

I oto mija 18 lat, gdy uroczystym aktem ogłoszono wolną, niepodległą Łotwę. Niepodległość polityczną Łotysze utracili dawno, przed kilkuset laty i do tego roku pozostawali pod jarzmem najeźdźców, pod presją obcych kultur, języków, zwyczajów. I chociaż upływał wiek za wiekiem, lata za latami, młode pokolenie zamieniało stare, jednak wpływ obcy nie tylko nie zniszczył kultury rodzimej, ale nie wyrzył nawet zbyt silnego piętna na jej skarbach. I owszem, Łotysze przyjmowali to, co było pożytecznym dla życia gospodarczego i, mimo niskiego stanowiska, jakie zajmowali we własnym kraju, szli w parze z postępem cywilizacji zachodnio-europejskiej i przystosowywali się do coraz nowszych wymogów życia. Razem z tym uchronili swe skarby narodowe. Wroga przemoc nie wydarła rodzimej mowy, nie pozostawiła na niej śladu. I dziś, kiedy strząśnięto skorupę naleciałości obcych, język łotewski okazał się jednym z najbliższych stojących do wspólnego pnia mowy aryjskiej. Cudzoziemcy, podziwiają piękne stroje, tańce, zabawy, i inne zewnętrzne osobliwości życia Łotyszów. A wszak powstały one nie teraz, nie w XIX wieku, gdy pojawiały się pierwsze szeregi bojowników o wolność i oświatę ludu, lecz hen, w tych czasach, kiedy plemiona łotewskie toczyły śmiertelną walkę o prawo swobodnego rozwoju, o prawo utworzenia własnego państwa. To też nic dziwnego, że, gdy warunki pozwoliły wywalczyć upragnioną oddawną niepodległość polityczną i stać się gospodarzami własnego kraju, Łotysze od razu postawili swe państwo narówni z tymi, które rozwijały się normalnie. Siegnęli po swą świetlaną przeszłość i wprowadzili ją do nowego życia. Wynadki potoczyły się normalnie i, w parę lat po oficjalnej deklaracji o niepodległości, młode politycznie państwo zostaje uznane prawnie przez mocarstwa zachodnio-europejskie i nawiązuje z nimi normalne stosunki. Następnie wchodzi do wspólnej rodziny narodów, jaką jest Liga Narodów. Te dwa doniosłe akty są dziełem pierwszego ministra spraw zagranicznych. u-



Prezydent Państwa DR. K. ULMANIS,
premier pierwszego rządu łotewskiego

1936

talentowanego męża stanu, s. p. Zygryda Mejerowicza, tragicznie zmarłego w r. 1925. Przez jego zasługi Łotwa staje narówni z innymi państwami formalnie i rzeczywiście.

Natomiast wewnątrz kraju, wskutek złe pojętej wolności, zapanowała niezgoda i zamęt. Życie polityczne potoczyło się nienormalnym trybem. Kraj stał się terenem roznamiętnionych walk pomiędzy poszczególnymi partiami, które nierazkdo miały na myśli więcej dobro swej organizacji i poszczególnych osób, aniżeli państwa. Przez to kraj tracił wewnętrzną spójność i obronność przed destrukcyjnymi wpływami komunizmu, który, mając sprzyjające warunki wobec niezgody, z powodzeniem rozsiewał ziarna nienawiści do religii, swego państwa, rodziny i społecznego porządku. Zachodziła konieczność ratowania państwa i skierowania jego biegu na właściwą drogę.

Jakoż zjawił się mąż, który już był położył olbrzymie zasługi w odbudowaniu państwa. W latach niepewności i niepokoju dr. Karlis Ulmanis był Szefem Tymczasowego Rządu, walczącego z obcymi przybyszami ze wschodu i zachodu, pragnącymi ponownie obalić byłt nowoogłoszonej Republiki Łotewskiej. Po wywalczeniu i ugruntowaniu niepodległości, usunął się z naczelnych stanowisk, lecz ciągle pracował dla dobra Państwa.

To też on pierwszy zrozumiał, że należy położyć kres niezgodzie, anarchii i rozbięciu. Stanąwszy ponownie na czele rządu stał się budowniczym odrodzonej Łotwy. Pod jego ręką ustała zawiść, zamęt oraz destrukcyjna robota komunizmu. Pchnął państwo na nowe tory rozwoju. Naród, zjednoczony pod jego zbawiennym kierownictwem, opanował kryzys, jak gospodarzy, tak i duchowy. Zapomniano o prywatach, a zaczęto składać ofiary na ołtarzu ojczysty. Rozpoczęła się właściwa odbudowa państwa. Zawdzięczać to należy Wodzowi. Wraz z uczczeniem rocznicy niepodległości nie można nie uczcić Tego, który swe życie poświęca Łotwie.

Albin Saliewicz



Wódz naczelny armii łotewskiej w okresie walk o niepodległość,
obecny minister Wojny gen. J. BALODIS



Adam Kowalski

W kraju Trzech Gwiazd

TYDZIEŃ

„Polska Zbrojna” — organ (dziennik) wojska polskiego — zamieszcza na swych łamach artykuły red. A. Kowalskiego poświęcone Łotwie.

Przedrukujemy go za łaskawym zezwoleniem Autora, nadmienając, że kpt. A. Kowalski bawił ostatnio w Łotwie, jako jeden z członków delegacji dziennikarzy polskich, którzy niedawno odwiedzili Łotwę.

Redakcja

Trzy gwiazdy złączone we wspólnym państwowym godle — to Kurlandia, Liwonia i Łatgalia, główne dzielnice sąsiadujące z nami od północy Łotwy. Szczęśliwy to kraj — jeden z nielicznych dziś w Europie, w którym nie ma ani bezrobocia ani analfabetyzmu.

Przybysz z Polski, gdy na ziemię łotewską zagrości, odczuwa odrazu, że znalazł się wśród przyjaciół. Z szacunkiem patrzy na wielowiekowy dorobek kulturalny narodu łotewskiego, z podziwem ogląda imponujące zdobycze 18-letniej pracy Łotwy Odrodzonej.

W krótkim szkicu z notatnika turysty pragnę czytelnikom „Polski Zbrojnej” dać garść wrażeń z trzech różnych ośrodków tego pięknego kraju: z Rygi — stolicy państwa, Libawy — portu i Kemeru — uzdrowiska.

Ryga dzisiejsza, półmilionowe miasto, nie tylko dba z wielkim pietyzmem o zachowanie rwych wspaniałych zabytków historycznych — ale z wielką ambicją i uporem stara się o wydobycie nowych wartości na każdym polu i dorównanie stolicom Zachodu. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrastają tu monumentalne gmachy publiczne, szkoły, zakłady przemysłowe. Na rozległych ugorach podmiejskich nad Dźwiną powstaje z milionowych składek społeczeństwa wspaniały park sportowy. W śródmieściu burzy się całe ulice, by wybudować nowe, rozplanowane według kanonów nowoczesnej urbanistyki. Na miejscu krętych i ślepych zaułków powstają jasne aleje, śmietniska przemieniają się w ukwiecone skwery, na pustych dawniej placach wyrastają piękne pomniki. Są w Europie miasta, które modernizują się ot tak sobie, dla manieri. Ryga jednak modernizuje się dla przyszłości, przez głęboką świadomość swej roli, jako stolica nienadległego państwa.

Równoległe z rozbudową architektoniczną rozwija się i modernizuje komunikacja w Rydze pod hasłem — tanio, szybko i wygodnie. Dotyczy to zarówno tramwajów jak i autobusów, samochodów, komunikacji telefonicznej i t. p. Przybysz z Warszawy patrzy zazdrośnie na wytworne limuzyny, taksówki, podziwia sprawność ruchu samochodowego bez używania klaksonów i syren, ogląda z zainteresowaniem estetyczne budki szklane z automatami telefonicznymi, zainstalowanymi do użytku przechodniów na rogach ulic. Oto nowa Ryga.

Libawa, jeden z najstarszych i największych portów bałtyckich, posiada prócz olbrzymich magazynów i nowoczesnych urządzeń przeładunkowych — wielką stocznice, z której korzystają również i nasze okręty wojenne. Libawa — kąpielisko nadmorskie — posiada prześliczny park i stadion sportowy na samym brzegu morza. Pobyt w pięknie urządzonej zakładzie kąpielowym (mieszkanie, utrzymanie, gorące kąpiele morskie) w pełnym sezonie kosztuje „aż” 3 zł. dziennie. „Proche” taniej niż w Turcji... Libawa — miasto (40 tys. mieszkańców) ożywione jest również, podobnie jak Ryga, „duchem przyszłości” i rozwija się w iscie amerykańskim tempie. Dla czytelników „Polski Zbrojnej” ciekawy może być szczegół, że Libawa, garnizon tak wielki jak np. nasze Suwałki, posiada ogromny, kilkumetrowy gmach, w którym mieści się spółdzielnia wojskowa. Jest to nowoczesny dom towarowy, w rodzaju domu Braci Jabłkowskich z dodatkiem działów wojskowego i spożywczego. Jeszcze większy gmach spółdzielni wojskowej buduje obecnie garnizon ryski.

Libawa i okolice — to najwięcej unrzemysłowiony okręg Łotwy. Z wielkich zakładów przemysłowych zasługują na wyróżnienie: duża fabryka drutu i narzędzi metalowych, zatrudniająca 1300 robotników i piękna, nowoczesna, państwowa fabryka cukru, przetwarzająca dziennie 1.110 ton buraków. W odległości 20 km. od Libawy znajdują się na rozległych przestrzeniach błotnistych państwowe zakłady przetwórcze torfu produkujące „złoto z błota” w postaci płyt izolacyjnych dla celów budowlanych i do instalacji, „wate” torfowa do opakowywania tabletek (na eksport do Kalifornii), „słomę” tor-

fową na podściółkę dla bydła, „gąbki” do pochłaniania czy masek gazowych i t. p.

Kemeru — to stare, największe nad północnym Bałtykiem, uzdrowisko, słynące od 100 lat ze znakomitych wód siarczanych i borowiny. Dumą dzisiejszego Kemeru jest wspaniały hotel — pałac zdrojowy (własność państwowa), mogący się śmiało równać z najlepszymi tego rodzaju zakładami w innych krajach.

Jest to jedyny w Europie zakład posiadający mechaniczne urządzenia, doprowadzające gorącą i przefiltrowaną borowinę wprost do wanny. Kuracjusze mieszkający w tym hotelu posiadają na miejscu w tym samym gmachu nie tylko kąpiele, ale i wszelkie nowoczesne urządzenia lecznicze, co stanowi wielką wygodę. Całkowite utrzymanie wraz z leczeniem i takną kuracją kosztuje w tym luksusowym hotelu 200—300 zł.

Kemeru otoczone jest rozległymi lasami, wśród których wiją się malownicze ścieżki spacerowe i przeglądają srebrzyste tafle cichych rzeczulek i

jezior, idealnie nadających się do sportu wioślarskiego i żeglarskiego.

Kemeru odległe jest o 5 km. od plaży nad Bałtykiem, dokąd kursują pociągi i autobusy co pół godziny, tak że kuracjusze z Kemeru mogą również korzystać z kąpeli morskich.

Warto nadmienić, że plaża ta, zwana „ryską” ciągnie się 20 kilometrowym pasem wśród pięknych lasów sosnowych i jest wspaniałym letniskiem z kilku tysiącami will i pensjonatów.

Piękna jest Łotwa. Piękna i gospodarna. Warto ją odwiedzić, by poznać. Warto ją poznać — by polubić.

Niech dumna pieśń rozbrzmiewa

Dla Ciebie, wolna Łotwo,
pieśń dumna niechaj brzmi.
Witając Cię, jak słońce,
radośnie serce drży.

Tyś perłą, co wyjrzała
z otchłani ciemnych wód.
Jak skarb najdroższy w sercu
przechowa Ciebie lud.

Od gwiazd większego blasku
dodamy wszyscy Ci,
niechaj w koronie ludów
ta perła wiecznie lśni

Dla Ciebie, wolna Łotwo,
pieśń dumna niechaj brzmi.
W potęgę wzrastaj — piękna,
jak słońce, co nam lśni.

Tłumaczyła z łotewskiego Jadwiga Korecka



Zamek ryski, siedziba
Prezydenta Łotwy
Dr. K. Ulmanisa. Po-
łożony nad Daugawą
wznosi się on nad mia-
stem, stanowiąc praw-
dziwą ozdobę stolicy
Odrodzonej Łotwy



W ŁOTWIE

Uroczystości w przededniu 11 listopada

— W związku ze świętem 11 listopada ogłoszony został rozkaz Prezydenta Państwa dr. K. Ułmanisa do armii i marynarki oraz rozkaz ministra wojny gen. J. Bałodisa i dowódcy Armii gen. K. Berkisa do armii.

Rozkaz Prezydenta Państwa podkreśla znaczenie dnia 11 listopada, jako święta bohaterów, którzy wywalczyli dla Łotwy wolność i niepodległość.

Minister wojny gen. J. Bałodis nawołuje żołnierzy do naśladowania bohaterów z nieuawnych walk o niepodległość Państwa, gen. Berkis, dowódca armii, życzy młodym żołnierzom dzisiejszej armii łotewskiej, ażeby, gdy zajdzie tego potrzeba, poszli śladami tych bohaterów, którzy w oficerze dla wspólnego dobra złożyli najcenniejsze ofiary.

— W przededniu święta 11 listopada w katedrze w stolicy odbyło się uroczyste

dziękczynne nabożeństwo, na którym było obecnych ponad 5000 osób. Na nabożeństwo przybył też Prezydent Państwa dr. K. Ułmanis w towarzystwie Ministra Wojny gen. J. Bałodisa i dowódcy armii gen. K. Berkisa.

Ponadto na nabożeństwie byli obecni członkowie Rządu, generalicja, członkowie kapituły orderu Łączpleśisa, inwalidzi wojskowi etc.

Wieczorem tegoż dnia odbyło się walne zebranie członków kapituły orderu Łączpleśisa.

Nazajutrz, w dniu 11 listopada, we wszystkich garnizonach w całej Łotwie miały miejsce defilady, odczyty i inne imprezy.

W stolicy święto 11 listopada rozpoczęto uroczystością poświęcenia Bratnich Mogił.

Sprawozdanie z uroczystości podamy w następnym numerze „Naszego Życia”.



Wiadomości bieżące

— Prezydent Państwa dr. K. Ułmanis ofiarował Łs 1000.— na fundusz stypendialny niezamożnych studentów Łatgałskich.

— Na roboty publiczne w listopadzie Gabinet Ministrów udzielił subwencji licznym instytucjom państwowym w kwocie Łs. 90.000.

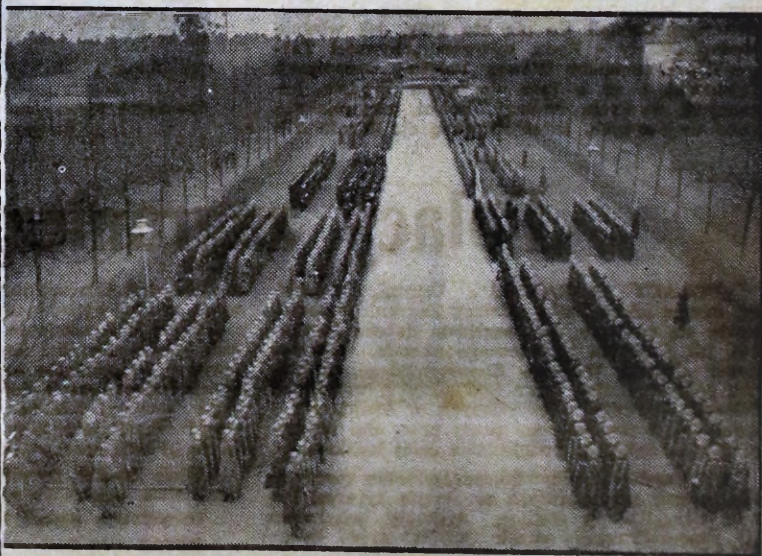
Samorządy miejskie otrzymały na ten cel Łs. 16.000, w czym subwencja dla Rygi stanowi kwotę Łs 9000.—.

— Minister A. Berzińsz był obecny w dniu 9 b. m. na zebraniu aktorów Teatru Sztuki (Dailes Teatris), na którym powołano nowy zarząd wyżej wspomnianego teatru, który z ramienia specjalnego Towarzystwa będzie się teatrem opiekować.

— Na uroczystościach dni rolnika w Tukumie w dniu 8 b. m. był obecny minister rolnictwa J. Birziņš z przewodniczącym Łotewskiej Izby Rolniczej R. Dzerwe. Minister Rolnictwa wygłosił w Tukumie obszernie przemówienie programowe, poświęcone kwestii dobrobytu państwa, którego warunkiem jest dalsze podnoszenie urodzajności ziemi.

— 8 b. m. upłynęło 7 lat od założenia pierwszego Mazpūlku w Łotwie. Fakt ten miał miejsce w dzielnicy Kurzemskiej w miejscowości Ezere.

Obecna ilość Mazpūlków przekroczyła cyfrę 900. Skupiają one w swoich szeregach przeszło 24 000 młodzieży.



Od góry z lewej: Prezydent Państwa dr. K. ULMANIS wygłasza przemówienie na konferencji nauczycieli w stolicy.

Z lewej: Prezydent Państwa dr. K. ULMANIS i minister wojny gen. J. Bałodis u stóp Pomnika Wolności w momencie uroczystej zmiany warty dnia 11 b. m.

U góry: Wojsko, kawalerowie Orderu Łączpleśisa i inwalidzi wojenni na Bratnich Mogiłach w dniu 11 b. m.

W uznaniu odniesionych zwycięstw przy odzyskaniu niepodległości i ogromnych zasług, jako dla Narodu i Państwa położył Wódz Naczelny — następca Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, i dając wyraz powszechnym pragnieniom narodu i wojska — Pan Prezydent Rzeczypospolitej, jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych, nadał Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych,

gen. dywizji Edwardowi Śmigłemu - Rydzowi godność Marszałka Polski.

Uroczyste wręczenie buławy marszałkowskiej przez P. Prezydenta Rzeczypospolitej odbyło się na Zamku Królewskim w Warszawie w dn. 10 listopada b. r. w obliczu sztandarów wojskowych, w obecności najwyższych władz państwowych, duchowieństwa, delegacji wszystkich pułków i przedstawicieli społeczeństwa.

„Gazeta Polska“ z dnia 10 listopada 1936 r.

Buława Marszałka Polski dla gen. E. Śmigłego-Rydza

Warszawa, 10 listopada 1936 r.

Wielki Marszałek, zanim opuścił na zawsze stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych Polski, wyznaczył swego następcę w osobie generała Śmigłego - Rydza. Nikogo z tych, którzy znają historię Polski z ostatniego ćwierćwiecza, ten wybór nie mógł zaskoczyć ani zdziwić. Stało się tak bowiem nie pierwszy raz.

Dwadzieścia lat przed tym, we wrześniu 1915 roku, kiedy wypadło Komendantowi Piłsudskiemu z częścią 1-ej Brygady przejść na inny odcinek, wydał rozkaz do pozostającej części, w którym powiedział: „Żołnierze! Na krótki czas rozstają się z Wami, powołany do innych czynności. W wyjątkowych okolicznościach, w których będę wam oddał komendę nad Wami, wiedząc, iż otoczycie Go tym samym zaufaniem i miłością, z jaką odnosiście się do mnie...”

Za drugim razem Komendant Piłsudski rozstał się ze swymi żołnierzami na dłuższy już czas w listopadzie 1916 roku. Proklamacja państw centralnych z 5 listopada tego roku, po raz pierwszy od dziesiątków lat, głośno wypowiedziała słowa, dawno w Europie zapomniane: „Niepodległość Polski, Rząd Polski, Wojsko Polskie”. Józef Piłsudski opuścił swych żołnierzy, by, objawszy kierownictwo Komisji Wojskowej w Tymczasowej Radzie Stanu, podjąć walkę o zrealizowanie tych obietnic. Postanowił wtedy, że legionieści muszą cofnąć podania o dymisję i trwać na posterunku, dopóki istnieje możliwość stworzenia Wojska Polskiego i pisał do pułkownika Śmigłego - Rydza następujące słowa: „Ufając głęboko Waszemu tak-
towi, który tak wysoko zawsze cenilem, zwracam się do Was, abyście zechcieli wśród wojska być rzecznikiem mych uczuć i wyrazicielem mego zdania...”

Naturalną rzeczą już było, że kiedy za Józefem Piłsudskim zamknęły się bramy twierdzy Magdeburga, w kierowaniu akcją całego obozu niepodległościowego zastąpił Go nie kto inny, jak właśnie Edward Śmigły - Rydz, wówczas „obywatel Tarnowski”, Komendant Główny Polskiej Organizacji Wojskowej, i że w tym pierwszym Rządzie, budzącej się do życia wolnej Polski, tekę ministra spraw wojskowych, zarezerwowaną dla Józefa Pił-

sudskiego, do czasu Jego powrotu, powierzono generalowi Edwardowi Śmigłemu - Rydzowi.

Jeszcze jednym ogniwem łańcucha, który te dwie postaci złączył tak silnie, były pamiętne dni sierpnia 1920 roku.

Naczelny Wódz, który kieruje wielką bitwą, musi wykonanie poszczególnych zadań powierzać dowódcom grup, czy armii. Oczywiście jest rzeczą, że kiedy miał powierzyć komuś zadanie, od wykonania którego zależał los bitwy i powodzenie wszystkich planów, mógł je powierzyć tylko człowiekowi, o którym wiedział, że wykona je tak, jakby On sam je wykonał.

Józef Piłsudski powierzył wykonanie historycznego manowru z nad Wieprza generalowi Śmigłemu - Rydzowi.



Marszałek Rzeczypospolitej Polskiej Edward Śmigły - Rydz

NA SZEROKI

Bezwątpienia od tamtej chwili następną prężną datą w dziejach Polski był dzień 21 maja 1935 roku, dzień, w którym Marszałek Piłsudski musiał powierzyć swe zastępstwo w ręce nowego Naczelnego Wodza. Naturalnym więc było, że nie w inne ręce je oddał, jak właśnie w te, które 20 lat przedtem już uznał za wypróbowane, że wybrał tego, którego już 20 lat przedtem uczynił rzecznikiem swych uczuć i wyrazicielem swego zdania.

Przyszedł czas, aby dać urzędową formę woli Marszałka Piłsudskiego, czyniącego generała Edwarda Śmigłego - Rydza swym następcą. Prezydent Rzeczypospolitej, mianując generała Śmigłego - Rydza Marszałkiem Polski, nadał tej woli urzędową formę. A naród polski pamiętać będzie zawsze, że Marszałek Piłsudski wierzył, iż Naród otoczy Marszałka Śmigłego - Rydza tym samym zaufaniem i miłością, z jaką odnosił się do Niego.

Władysław Brzozowski

Więści

Polska pod względem obszaru (388,6 tys. km²) zajmuje 7-me miejsce po Z. S. R. R., Francji, Hiszpanii, Niemczech, Szwecji i Finlandii.

Pod względem długości granic — 7-me miejsce po W. Brytanii z Irlandią, Włoszech, Szwecji, Niemczech, Hiszpanii i Francji.

Pod względem ludności — 6-te miejsce po Z. S. R. R., Niemczech, W. Brytanii z Irlandią, Francji i Włoszech.

Pod względem gęstości zaludnienia — 8-me miejsce po Belgii, Holandii, W. Brytanii z Irlandią, Niemczech, Włoszech, Czechosłowacji, Węgrzech.

Pod względem wartości majątku państwowego — 13-te miejsce po St. Zjednoczonych Am. P., W. Brytanii z Irlandią, Francji, Belgii, Szwecji, Argentynie, Niemczech, Holandii, Czechosłowacji, Włoszech, Austrii i Brazylii.

Pod względem obciążenia wydatkami państwowymi — 12-te miejsce po W. Brytanii, Holandii, Norwegii, Francji, Niemczech, Szwecji, St. Zjednoczonych Am. P., Włoszech, Czechosłowacji, Finlandii i Austrii.

Pod względem obciążenia długami państwowymi — 13-te miejsce po W. Brytanii, Szwajcarii, St. Zjednoczonych Am. P., Holandii, Norwegii, Danii, Szwecji, Czechosłowacji, Austrii, Japonii, Rumunii i Niemczech.

Pod względem produkcji: pszenicy — 15-te miejsce, żyta — 3-cie miejsce, jęczmienia — 10-te miejsce, owsa — 6-te miejsce, ziemniaków — 3-cie miejsce, buraków cukrowych — 6-te miejsce, lnu — nasienia — 7-me miejsce, lnu — włókna — 2-gie miejsce, (po Z. S. R. R.), konopi — nasienia — 2-gie miejsce (po Z. S. R. R.), konopi — włókna — 7-me miejsce.

Pod względem hodowli: koni — 5-te miejsce, trzody chlewnej — 6-te miejsce, bydła rogatego — 8-me miejsce, owiec — 16-te miejsce.

Pod względem rybołówstwa morskiego — 2-gie miejsce.

Pod względem rozwoju spółdzielczości — 15-te miejsce.

Pod względem szacunku zapasów surowców i energii: węgla kamiennego — 7-me miejsce, wódnych — 6-te miejsce.

Pod względem produkcji energii elektrycznej — 15-te miejsce.

W GRUDZIADZU ZNAJDUJE SIĘ DZIESIĘĆCIORO DZIECI, których ojcem chrzestnym jest Prezydent Rzplitej. W dniu pobytu Głowy Państwa w Grudziądzu rodziny tych dzieci otrzymały po 50 zł., dla chrześniaka,

Polacy zagranicą

„POLACY ZAGRANICĄ”. Ostatni, listopadowy, numer miesięcznika „Polacy Zagranicą” przedstawia się zarówno pod względem doboru artykułów, jak i układu technicznego okazale. Otwiera numer „Hasło” Wacława Sieroszewskiego, w którym sędziwy Autor rzuca pod adresem wszystkich Polaków, zarówno mieszkających w kraju, jak i zagranicą, wezwanie, aby przez pracę dla własnego narodu dążyć do podniesienia całej ludzkości.

Dr. Czesław Kulikowski, zdając sobie sprawę z niedomagań gospodarczych w okresie kryzysu Polonii Brazylijskiej, otwiera dyskusję artykułem „O zapoczątkowanie ruchu spółdzielczego wśród Polaków w Brazylii”. Również dyskusyjny charakter nosi artykuł W. Orzelskiego o zagadnieniach młodzieżowych na terenie Polonii amerykańskiej. Jest to zagadnienie kapitalne i artykuł powinien wywołać żywe zainteresowanie.

Ożywiony tegoroczny ruch wycieczkowy Polaków z zagranicy do Polski omawia Wł. Oszelda.

Obok licznych korespondencji z terenów osadniczych i emigracyjnych, ostatni numer miesięcznika „Polacy Zagranicą” poświęca również trochę

miejsca doli tulaczej innych grup narodowościowych, w tym wypadku Gruzinom.

Przewodnik oświatowo - wychowawczy — obok prac programowych i korespondencji z terenów — przynosi wspomnienie o Henryku Sienkiewiczu z okazji listopadowych dni sienkiewiczowskich. Zaś dział sportu i wychowania fizycznego przynosi wśród innych prac ciekawy artykuł Z. Korosodowicza „Polski sport wysokogórski”.

Wiele miejsca poświęcono w ostatnim numerze harcerstwu polskiemu zagranicą.

Uzupełniają numer liczne piękne ilustracje.

DZIEŃ POLAKA ZAGRANICĄ. W dniach od 15-go stycznia do 15-go lutego 1937 r. odbędzie się na terenie Rzeczypospolitej zbiórka na rzecz Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą. W okresie zbiórki, w dniu 24-ym stycznia 1937 r., odbędzie się „Dzień Polaka Zagranicą”, który organizuje Towarzystwo Pomocy Polonii Zagranicznej.

Protoktorat nad obydwoma tymi imprezami objęli: Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki i Wódz Naczelny — marszałek Edward Śmigły-Rydz.

M ŚWIECIE

Jak donoszą...

PACYFIKACJA PALESTYNY ZAKOŃCZONA. STAN WYJĄTKOWY ZOSTAŁ JUŻ ZNIESIONY. Brytyjski minister kolonii 29 ub. m. zakomunikował izbie gmin, że podczas rozruchów w Palestynie do 15 ub. m. poległo 187 mahometanów, 80 Żydów i 10 chrześcijan. Wojskowych brytyjskich zginęło 21. Oprócz tego, w różnych miejscowościach zginęło 15 policjantów i żołnierzy straży

granicznej. Liczba rannych pięciokrotnie przewyższa liczbę zabitych.

Podczas dyskusji w izbie gmin, minister oświadczył, że w Palestynie panuje obecnie spokój i ludność powróciła do normalnej pracy. Zamierzano wysłać do Palestyny posiłki wojskowe, lecz po uspokojeniu sytuacji, podjęto zarządzenia w kierunku zmniejszenia ilości wojska w Palestynie.

Po zniesieniu w całej Palestynie stanu wyjątkowego, komisarz brytyjski 29 ub. m. zwrócił się przez radio do ludności kraju, wskazując, że zakończenie zatargu będzie korzystne dla obu stron.

CZY ANGLIA UZNA ANEKSJĘ ABISYNI? Reuter donosi: Sytuacja poselstwa brytyjskiego w Addis - Abebie jest tematem narad rządu brytyjskiego. W sprawie tej rząd W. Brytanii porozumienia się z Francją i St. Zjednoczonymi. Nie należy spodziewać się decyzji w bliskiej przyszłości.

Koła rządowe potwierdzają, że polityka brytyjska nadal stoi na stanowisku, że zdobycie Abisynii przez Włochy nie może być uznane inaczej jak przez Ligę Narodów. Jednakże W. Brytanii nie stosowała by tej zasady do spraw drobniejszych, jak np. do przemianowania poselstwa w Addis - Abebie, akredytowanego przy cesarzu, który jest na wygnaniu, na konsulacie przy władzy włoskiej w Abisynii. Tego rodzaju krok zawierałby w sobie częściowo uznanie panowania włoskiego w Abisynii.

BUTY ZA 100 RUBLI. Niejaki dr. H. Szoszkies opowiada w prasie polskiej swoje wrażenia z pobytu w Moskwie. Znajdujemy, tam m. in. takie obrazki z wielkiego magazynu sowieckiego:

„Schody, wiodące na wyższe piętra wielkiego sklepu, czynią wrażenie kłębówiska: tam sprzedaje się buty! buty! buty!

Słowa te kryją w sobie rytm muzyczny!! Para ładnych pantofli kosztuje 150—170 rubli, co równa się prawie minimum utrzymania jednego miesiąca... Trzeba więc całą dobę wystawać w kolejce, by nabyć parę butów za 100 rubli.

Oto znów długa kolejka — co tu sprzedają? Guziki. Najwyklesze guziki do spodni i sukien, ale że odczuwa się brak dobrych guzików, więc ludziska wystają godzinami w kolejkach.

Chleba, masła i kielbasy jest dość, ale kilo suchej kielbasy kosztuje 10—14 rubli, ryba 5 rubli. Ma to swoją korzyść — dodaje p. Szoszkies. W Moskwie nie widać ludzi tęchich i artrytyków. Od 19 lat trwa kuracja odtłuszczająca...

PIERWSZY WYSTĘP KOBIECYCH DRUŻYN PIŁKARSKICH. W Brnie rozegrany został pierwszy mecz piłkarski pomiędzy nowozałożonym berneńskim kobiecym klubem piłkarskim „Sparta“ a kobiecą drużyną piłkarską wiedeńskiej Austrii. Zwyciężyła Austria 7:1 (3:0). Mecz ten wywołał w prasie czeskiej formalną burzę i wszystkie niemal dzienniki wzywają czynniki sportowe i władze do wystąpienia przeciwko tym drużynom kobiecym.



Prezydent Polski prof. I. Mościcki oraz Marszałek Śmigły - Rydz na nabożeństwie polowym

z Polski

GŁÓWNY URZĄD STATYSTYCZNY opracował dane, dotyczące stowarzyszeń wyższej użyteczności publicznej w Polsce w r. 1935. Według tych danych Polski Czerwony Krzyż w r. ub. posiadał 819 oddziałów i 4.755 kół, w tym 3.850 kół młodzieży szkolnej; liczba członków wynosiła 407.000, w tym 219.000 młodzieży szkolnej, dochody wynosiły sumą 5.259.000 zł. Polski Biały Krzyż liczył 134 koła i prowadził 303 świetlice, 377 bibliotek oraz 914 kompletów w szkołach i bursach, na które uczęszczało 30.000 uczniów; dochody P. B. K. wyniosły 443.000 zł. — Liga Obrony Powietrznej Państwa liczyła 1.331.000 członków, w tym 675.000 rzeczywistych i 654.000 wspierających; liczba kół wynosiła 15.763 w tym 8.214 kół młodzieży szkolnej, dochody wyniosły 7.350.000 zł. Towarzystwo Budowy Szkół Powszechnych posiadało 12.535 kół, do których należało 233.000 członków; wykończono 1.281 izb lekcyjnych, dochody wyniosły 4.867.000 zł. — Tow. Przyjaciół Młodzieży Akademickiej posiadało 15 komitetów wojewódzkich i 90 kół lokalnych, grupując 1.890 członków; dochody wyniosły 1.667.000 zł., wydatki 1.608.000 zł. Do Ogólnopolskiego Zw. Straży Pożarnych należało 11.679 straży, w tym 67 zawodowych, grupujących ogółem 300.000 członków, przy Związku istniało 2.052 świetlic, 484 bibliotek i czytelnia i 1.520 zespołów teatralnych i 1.092 chórów i orkiestr. Zestawienie nie dotyczy Związku Harcerstwa Polskiego, który zaliczony został do rzędu stowarzyszeń wyższej użyteczności w roku bieżącym.

ŚLUB JANA KIEPURY. 3 listopada przed południem odbył się w Katowicach ślub cywilny słynnego śpiewaka polskiego Jana Kiepury z artystką filmową, Martą Eggerth. Ślubu udzielił w magistracie katowickim prezydent miasta dr. Kocur, jako urzędnik stanu cywilnego. Podczas ślubu obecni byli rodzice Jana Kiepury, matka panny młodej i grono przyjaciół. Przed magistratem zebrał się kilkustysięczny tłum ludności, która wiatowała na cześć młodej pary.

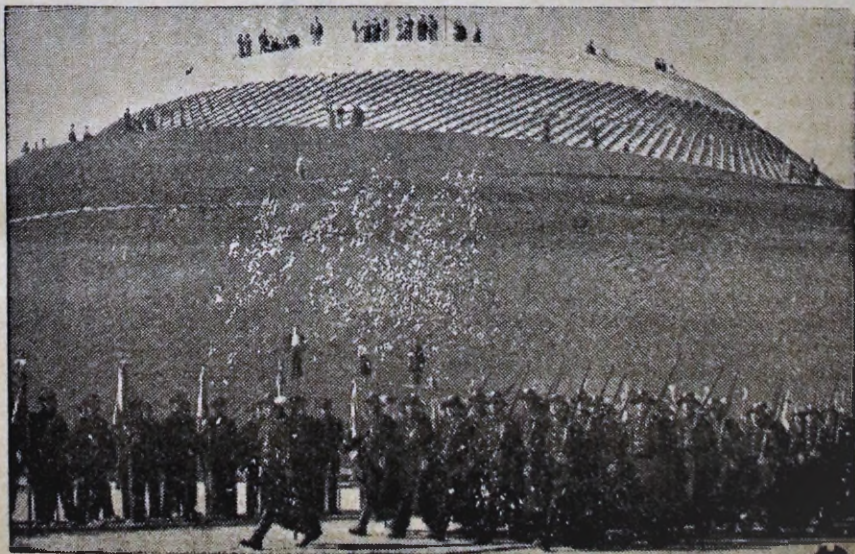
Kiepura z okna gabinetu prezydenta przemówił do tłumu, przepraszając publiczność, że nie może śpiewać, gdyż jest niedysponowany, a zarazem przyrzekł, że w lecie przybędzie do Katowic.

Wieczorem tegoż dnia Kiepura wraz z małżonką wyjechał do Berlina.

W SIERPNIU NASTĄPIŁO dalsze ożywienie wywozu polskiego drzewa. Przez Gdynię i Gdańsk wywieźliśmy w tym miesiącu przeszło 75.000 m. sześć, materiałów drzewnych, a więc o 11% więcej niż w lipcu r. b.

„**POLSKI IKAR**“. Antoni Gabrjel, zamieszkały w Mnichowicach w pow. Kępińskim, zbudował własnym kosztem i według własnego systemu i pomysłu samolot, którym odbył swój pierwszy lot. Jeden z gospodarzy oddał do dyspozycji pomysłowego i przedsiębiorczego pilota — wieśniaka odpowiednią ilość benzyny i oliwy i Gabrjel odbył szczęśliwie swój pierwszy lot, który trwał przeszło 45 minut. Obleciał on Mnichowice, Bralin i Kępno, lecąc na wysokości około 500 do 700 m. z szybkością około 80 km. na godzinę. Po wyjściu z samolotu rozentuzjzmowany tłum wziął odważnego lotnika na ręce i złożył mu serdeczne gratulacje. Gmina, do której Gabrjel należy, wręczyła „Wielkopolskiemu Ikarowi“ tytułem upominku 100 zł.

TEGOROCZNY ZBIÓR oprzędów jedwabniczych zapowiada się pomyślnie. Hodowlą jedwabników zajmuje się w Polsce 1.000 hodowców rozrzuconych po całym państwie, przeważnie jednak w Małopolsce wschodniej. Centralna stacja jedwabnicza w Milanówku nabywa oprędy według objętości, placąc za 4 litrową miarę zł. 2.30. W r. 1934 cena wynosiła gr. 91, a zatem hodowla jedwabników kalkuluje się obecnie przeszło dwa razy korzystniej, niż przed 2 laty.



Kopiec Marszałka Piłsudskiego

Dział religijny

Ewangelia na 24-tą niedzielę po Świątkach

zapisana u św. Mateusza w rozdz. 8, w. 23-27.

W on czas: gdy Jezus wstał do łodzi, weszli za Nim uczniowie Jego. A oto burza wielka zerwała się na morzu, tak, iż fale zaczęły łódź zalewać; — On tymczasem spał. I zbliżyli się doń uczniowie Jego i obudzili Go mówiąc: Panie, ratuj nas, giniemy! Jezus zaś rzekł im: Dlaczego się boicie, wy małej wiary? — I zaraz powstał, nakazał wicherom i morzu i stała się wielka cisza. Ludzie zaś wiali się i mówili: Kimże On jest, że wichry i morzę są Mu posłuszne?

NAUKA

Łódka na morzu, to obraz Kościoła Chrystusowego. My dzisiaj wiemy, że Kościół jest dziełem Bożem, że nad nim czuwa i nim kieruje Duch Św. My wiemy, że jak dotąd przeżył blisko 2000 lat łódź Piotrowa ze wszystkich burz dziejowych wychodziła zwycięsko, tak i w przyszłości nie jej zniszczyć i w odmętach zatopić nie potrafi, choćby się nie wiem jak groźne rozpętały burze. To zapewnienie dał Kościołowi swemu sam Syn Boży: „Oto ja jestem z wami aż do skończenia świata” a „choćby niebo i ziemia przeminą”, Jego słowa nie przeminą.

Mamy więc pewność, że Kościół Chrystusowy z wszystkich ucisków, prześladowań i wstrząśnień dziejowych wyjdzie zwycięsko, że łódź Piotrowa nie zatoni,

ale niechybnie dobieje do celu przeznaczonego i spełni swoje posłannictwo dziejowe.

Szczęśliwy zatem, kto na pokład tej łodzi się dostał przez Chrztę św., — szczęśliwszy jednak, kto na niej wytrwa do końca i w ten sposób cel swój osiągnie. Dotyczy to zarówno jednostek jak narodów całych.

Zdarza się nieraz, że okręt dobiega co prawda szczęśliwie do portu, lecz wśród strasznej burzy, jaką przechodził, tego lub owego z załogi złowrogie fale zmyją z pokładu w odmęty morskie. Taki nieszczęśliwiec wtedy stracony, bo nikt i nie mu pomóc nie jest w stanie.

Podobne i „bezpieczeństwo” grozi i tym, co i w łodzi Piotrowej się znajdują. Innowiercy, sekciarze i bezbożnicy starają się rozmaitemi sposobami oderwać nas

od Kościoła i strącić z zbawczego pokładu w odmęty niewiary i sekciarstwa. Bądźmy ostrożni i pamiętajmy, że poza Kościołem Chrystusowym niema zbawienia.

Zdarza się także, że podczas podróży niejednego na okręcie umrze. Na cóż takiemu się przyda, że statek do portu zawinie szczęśliwie, że wszyscy inni cel podróży osiągną, kiedy on go nie osiągnął?

I nas łódź Piotrowa dowiezie niechybnie do przystani niebiańskiej pod warunkiem jednak, że będziemy żywymi członkami Kościoła, że żywą będzie dusza nasza, czyli w stanie łaski uświęcającej. Kto bowiem umarł na duszy i w grzechu śmiertelnym przejdzie do wieczności, temu na nic nie przyda się przynależność do Kościoła Chrystusowego. Taki stracony na wieki.

Zatem dziękując codziennie Panu Bogu za tę wielką łaskę, że jesteśmy członkami Kościoła św., starajmy się przede wszystkim o to, by nie popaść w grzech śmiertelny. Upadłszy zaś, by w nim nie trwał, ale podnieść się zeń jak najprędzej.

Błogosławieństwo gałganiarza...

Wiedzie, kto to jest gałganiarz??

To ten nędzarz, co zdobywa kawałek chleba, grzebiąc w śmietniskach wielkiego miasta i szukając w nich jeszcze coś — mającego wartość choćby paru groszy, aby to sprzedać podobnym sobie nędzarzom...

Taki śmieciarz, wyczerpany biedą i wiekiem, umierał raz w Paryżu...

I wezwał do siebie kapłana Boga Najwyższego, aby go przygotował na śmierć i wspomniadł, jak należy. A potem jeszcze prosił go, by jutro... w niedzielę przyniósł mu Pana Jezusa w świętym Wiatyku

Kapłan obiecał, ale serce ścisnęło mu się na widok tego lochu, brudu, nędzy, do której miał przynieść Pana nad Pany... Prawdziwa to była jaskinia, wstrętna, obrzydła

Wracając tedy do domu, zwierzył się ze swych trosk przecznej pani bogatego pałacu, żarliwie pobożnej, szlachetnej...

— Niech ksiądz będzie spokojny. Zagładnę tam z synkiem. On mi jakoś pomoże. To lepiej, jak brać służbę. Przecież to usługa miłości. Niech chłopiec zobaczy nędzę z bliska. Niech jej ulży. To mu przyniesie kiedyś szczęście i błogosławieństwo Boże... Wszak tyle od Boga potrzebuje.

— Ależ pan! Ten człowiek jest ciężko chory. Nie może czekać. Jutro wczesnym rano zaniosą mu Komunię świętą...

— Niech się Ksiądz nie kłopotuje. My tam będziemy jeszcze wcześniej.

Na drugi dzień, w świętym poranek niedzielny kapłan zjawia się w progu wczesniejszej jaskini i staje zdumiony. Nora zwierzęca zmieniła się w kaplicę... A stary nędzarz czysty, umyty, w świeżej pościeli

i białźnie czekał niecierpliwie przyjścia swego Zbawiciela.

Matka i syn padli na kolana i odmawiali w skupieniu Spowiedź powszechną...

Ksiądz chciał jeszcze w paru słowach przypomnieć staremu naukę o Najświętszym Sakramencie, ale ten wstrzymał go ruchem przeczącym i szepnął:

— Nie trzeba, nie trzeba! Ta pani, co kłęczy, wszystko mi już powiedziała i kazala się modlić z tym chłopczykiem razem do Pana Jezusa... Och jakież jestem szczęśliwy!

Święty Wiatyk przyjął ze wzruszającą pobożnością. A ledwo kapłan ukończył święte czynności, szlachetna dama,

powstawszy z klęczek, rękę starca położyła sobie na głowie, drugą na głowie swego synka i rzekła:

— No ojcze! Teraz jesteś przyjacielem Bożym, przyjąłeś Pana Jezusa do serca, udzielił nam swego błogosławieństwa!

— Och, Pani! — rzecze wzruszony biedak — cóż to znowu mówicie! Ja nędzny człowiek i grzeszny... gdzież mnie tam błogosławić... Ale ja bardzo proszę Boga, by On sam błogosławił was, was oboje, za to, coście mi uczynili. Bo wy jesteście Aniołami Bożymi... Chyba anioł tylko może być tak dobry, jak wy byliście dla mnie... Bóg i Jego łaska z wami... na zawsze...

Msza św. ofiarą Kościoła

Msza św., jest naszą ofiarą, bo Chrystus Pan zechciał stać się naszym arcykapłanem i naszym darem ofiarowym. Należy jednak dokładniej określić, co to znaczy to słówko „nasz”. Msza św. jest naszą ofiarą w tym znaczeniu, że jest własnością wszystkich ludzi bez różnicy, co więcej grzeszników i sprawiedliwych, chrześcijan i niechrześcijan, katolików i niekatolików. Czy też tak, że Msza św. jest tylko własnością katolickiego Kościoła?

Kiedy Pan Jezus ustanowił Mszę św., powiedział do apostołów: „To czyńcie na moją pamiątkę”. W tych słowach tylko apostołom i ich prawowitym następcom oddał władzę sprawowania Mszy św. W takim razie tylko panie i biskupi oraz kapłani mogą składać bezkrwawą ofiarę Mszy św. Tak jak ogólny zarząd Kościołem Pan Jezus powierzył papieżowi i biskupom, tak też tylko oni mają prawo decy-

dować, w jakich warunkach może się odprawiać Msza św. Kościół rządzący ustanawia, kto może odprawiać Mszę św. gdzie i kiedy oraz za kogo. Istnieją dokładne przepisy kościelne co do odprawienia Mszy świętej.

Dla kogo jednak P. Jezus ustanowił Mszę św.? Dla wszystkich ludzi, to prawda, ale przede wszystkim dla swego wybranego nowego ludu, t. j. dla Kościoła świętego. Szczególnie więc dla członków Kościoła katolickiego.

Pan Jezus przyszedł na świat aby w miejsce niewiernych żydów, ustanowił nowy naród, nowy lud, któryby wiernie służył Bogu i cześć Mu należała oddawać. Członkiem tego nowego ludu staje się człowiek przez to, iż łączy się z głową tego nowego ludu, a to staje się przez wiarę w Jezusa Chrystusa, której zewnętrznym objawem jest chrzt święty.

Z okazji setnego numeru „Naszego Życia”

W naszej wspólnej sprawie

Sto tygodni temu, w dniu 25-go grudnia 1934 roku, ukazał się pierwszy numer „Naszego Życia” — jedyne pisma polskiego w Łotwie.

Dzisiejszy numer jest numerem — setnym. Przez sto tygodni regularnie dostarczaliśmy naszym Czytelnikom strawy duchowej w ich ojczystym języku podawanej, wierząc w pożytek i celowość istnienia „Naszego Życia” jako organu Polaków w Łotwie zamieszkujących.

I nie zawiedliśmy się.

Obecnie — po stu tygodniach wytrwałej pracy — widzimy wyraźnie, jak wielką potrzebą jest pismo, jak wielki odźwięk budzą sprawy na jego łamach poruszane wśród coraz szerszego koła naszych Czytelników, jak — wreszcie — przyczynia się ono w ramach swoich możliwości do uaktywnienia życia naszej społeczności, która — jako społeczność polska — ma poważne przed sobą zadania zarówno w zakresie swoich obowiązków względem Narodu, do którego należy, jak i Państwa, w którym zamieszkuje.

Celom postawionym w momencie zakładania pisma nie sprzeniewierzyliśmy się i dlatego ze spokojnym sumieniem obchodzimy dzisiaj wraz z kołem swoich licznych przyjaciół i sympatyków ten skromny jubileusz, którym jest w życiu naszego tygodnika wydanie setnego numeru.

Jak zwykle w takich wypadkach czynimy bilans swej pracy i zastanawiamy się nad drogą, którą w przyszłości naprzód podążać będziemy.

Jak już stwierdziliśmy, zachowaliśmy mocno zasady, które przy zakładaniu pisma powzięliśmy. Krąg naszych przyjaciół — a do tych zaliczamy naszych stałych prenumeratorów i współpracowników — poważnie wzrósł i ustabilizował się. Staliśmy się — w miarę naszych możliwości i w ramach przyjętego programu — zdolni uczynić wszystkim słusznym postulatom naszych Czytelników, wychodząc ze zrozumiałej dla nas zasady, że pismo jest dla czytelników, ale nie czytelnicy dla pisma. Stąd nasz bliski kontakt z Czytelnikami czy to bezpośredni, osobisty, czy też korespondencyjny, w którym staliśmy się wybadać potrzeby odbiorców naszego pisma i te potrzeby zaspokoić.

Praca, którą zrobiliśmy, nie była pracą łatwą. Na drodze życia każdego człowieka piętrzy się dużo trudności, coż dopiero mówić o drodze, jaką rozpoczyna pismo zdobywające dopiero czytelnika.

Mieliśmy tych trudności poddostatkiem. O rozmaitości ich zresztą nie czas dzisiaj już mówić.

Przyświecało nam zawsze jedno niezmiennie przeświadczenie: że jesteśmy potrzebni, że to co czynimy — czynimy dla dobra całości, w imię nagromadzenia ogólnych wartości, które są wartościami pozytywnymi i dla naszej społeczności i dla Państwa, w którym mieszkamy.

Przeświadczenie to i nadal będzie nam przyświecało.

I nadal zadaniem naszym będzie praca dla naszego wspólnego dobra.

Jak dotąd, dążyć będziemy do rozszerzania koła naszych czytelników i współpracowników, gdyż uważamy, że pierwszym wskazaniem każdego z nas jest nakaz stałego czytania, a więc prenumerowania „Naszego Życia”, naszego pisma w Łotwie, jako wykładnika naszych myśli i dążeń, jako reprezentanta naszych wartości i naszej siły.

A że dużo jeszcze jest wśród nas elementu, który nakazu tego nie usłuchał, albo do którego jeszcze nakaz ten nie dotarł — przeto i pracy jeszcze jest przed

nami poddostatkiem i to pracy nie mniej trudnej od tej, którą już odrobiliśmy.

Rozszerzenie koła naszych Czytelników — prenumeratorów umożliwi nam polepszenie szaty zewnętrznej i wewnętrznej pisma. Polepszenie szaty pisma rozszerzy jeszcze bardziej zakres jego oddziaływania i wpływu.

To też kiedy dojrą do rąk naszych Czytelników setny numer „Naszego Życia”, pragniemy, żeby wszyscy się poczuli jubilatami, których łączy jedna więź wspólna — pismo polskie.

Ta skromna uroczystość niech będzie uroczystością wspólną — uroczystością nas wszystkich.

Bowiem wszyscy jesteśmy kowalami swego własnego jutra. Jeśli sobie mocno postanowimy, że świadomie i stale dążyć będziemy — wszyscy razem — do dalszego rozbudowywania swego pisma w Łotwie — w przyszłości, gdy obchodzić będziemy uroczystość wydania dwuchsetnego numeru, jeszcze w większym stopniu, niż to ma miejsce obecnie, przemówi do naszych serc świadomość dobrze spełnionego obowiązku i radość, że wspólne dzieło, dzieło naszych rąk i mózgów, rozwija się i postępuje ciągle naprzód.

100

piątków „Naszego Życia”

Od stu tygodni, co piątek, z pód wielkiej rotacyjnej maszyny drukarskiej wylatują, wyrzucane łopatkowym kołem, świeże, „jeszcze ciepłe”, numery „Naszego Życia”, które potem wędrują do domów i chat w różne strony Łotwy, ba, idą dalej, bo aż za granice naszego państwa!

Czytelnik, kiedy po przeczytaniu położy gazetę na stole lub rzuci ją gdzieś w kąt, nie zauważa jej nawet — tak mało zajmuje ona miejsca. Ale... ziarno do ziarnka... Gdybyśmy tak zebrali wszystkie numery, które maszyna wyrzuciła w przeciągu stu piątków i ułożyli je jeden na drugim, zauważyłby je każdy, bo utworzyłby one słup wysoki na 450 metrów, czyli o połowę wyższy od wieży Eifla w Paryżu, najwyższej wieży na świecie, sterczącej w niebo na 300 metrów.

A gdybyśmy zechcieli rozłożyć stronicę tych wszystkich numerów — nie wystarczyłoby obszar niejednego dobrego gospodarstwa, bo prawie 35 hektarów moglibyśmy zasłać stronami „Naszego

Życia”. Lecz żeby zasłać te 35 hektarów, trzeba by było wpiąć przynieść na wolne miejsce wszystkie numery. Nie mogliby tego uczynić na raz wszyscy ci którzy piszą do „Naszego Życia”, wypadłoby o pomoc poprosić aż trzystu co teższych prenumeratorów i na każdego wiodować po pięć pudów albo zamówić 2 wagony kolejowe. Zdarza się jednak, że komuś poruczone jest jedno, a wykona on całkiem co innego. Jeśli by zaszedł taki wypadek i, zamiast rozesłać na kwadratowej przestrzeni stronie gazety, ktoś rozesłałby je wzdłuż umęczony się niezmiernie, gdyż musiałby przejechać rozkładając kartki, aż 1440 kilometrów, mógłby, połączyć Rygę, przez Warszawę, z Berlinem wąską ścieżką, wysłaną stronami gazety. Ponieważ zaś za niewłaściwe wypełnienie polecenia zwłokło się karami winnego, tym razem kazalibyśmy mu policzyć litery druku po obu stronach rozesłanych kartek. Miałby za swojej Musiałby liczyć do 57.000.000.000. Zupełnie mu nie zazdroszcze.

(ej)

Zeszli nadół. Stróżce kapal łój ze świecy na ramię. Gaz śmierdział i stęchlizna biła ze ścian. W połowie było jakieś okienko, gdzie matka Piotra przechowywała ziemniaki i jarzynę. I dziś dolatywała stąd pietruszka.

Na dnie piwnicy stanęli przy drzwiach komórki, w której hodował Piotr z Andrzejem króliki. Stróżki nie było widać, tylko wysoko podniesioną świecę.

Piotr wciągnął głęboko w płuca zimne i stęchłe powietrze.

— Zimno tu, strasznie zimno — rzekł do świecy.

— Zawsze tak zimno. Jak w grobie — odpowiedziała świeca.

Było zimno. Było zimno jak w grobie. Było zimno jak w ciemnym kamiennym grobie. Grobem była piwnica, potwornie głęboka piwnica, w której zakopano żywcem ojca Marcina i matkę Marję.

Piotr wzdrygnął się. Zimne kulki ołowiu siurały mu z karku po krzyżach. Tu była zakopana żywcem pod wiadrami rozlupanego węgla, bekami kapusty, centnarami ziemniaków matka Marja, której trup śmierdział gazem, pietruszką i stęchlizną. Tu rzygała matka krwią i węglem, a on wbijał chłopięce pazury w świecę.

Świeca zakotyła się znów w tym czarnym grobie.

— Chodźmy już stąd, panie. Strasznie zimno.

— Strasznie zimno — powtórzył machinalnie Piotr i zaczął iść zpowrotem do góry.

Przed nim szła pod sklepieniem świeca.

Potworne były schody. Nic nie mówił a dygotały mu nogi jak smyczka. Wielki cień stróżki szedł przed nim ze światłem w ręce. Piotr szedł za świecą i niósł na sobie cały ten grób i wszystką piwniczną ciemność.

Było tu strasznie ciężko. O wiele ciężiej niż przed laty, gdy dźwigał po tych schodach naraz po dwa wiadra węgla.

Wyszli tak wreszcie na sianó. Na przodzie przed nim skwircało żółte ucho od bramy i stojący przed bramą syn stróżki kotłował za drzwi bosą nogą.

Piotr rzekł do stróżki:

— Dziękuję. Piętra już sam oglądnę.

Wstąpił na czerwony dywan schodów. Szedł wolno, bo ciężar rósł nad nim z każdym schodem. Na samym karku siedziały mu już gotyckie lunety, które omiało się szczotką na długim przecie.

Na pierwszym piętrze była czerwona posadzka jak na dole.

Strop średniowieczny z lakierowanych grubych belek dębowych. Naokoło w ścianach troje białych drzwi.

Kancelaria adwokata doktora Jana Hubki, mieszkanie prywatne adwokata dra Hubki i kuchnia dra adwokata Jana Hubki.

Całe piętro Jan Hubka.

Piotr stoi i patrzy na strop i lunety, białe drzwi i białe schody, po których nosiła na to piętro węgiel matka. Na górę, na drugie piętro nie chodzilo się z węglem, bo tam już mieszkali Gąsiorkowie.

Tu chodziła i chodzi jeszcze z wiadrami jego matka. Matka Marja. Kochana matka Marja, mająca worki od łez opuchłe pod oczami, długi, strasznie długi nos, sterzący z martwych poduszek, zakłaknięte policzki, i wąsy pod nosem, nawet wąsy. Jego matka harowała tak ciężko za siebie — kobietę i umarłego męża — mężczyznę, że jej w tej bramie urosły nawet wąsy, czarne od pyłu węgla wąsy.

Tu żyje po kątach w pvle, na murach, na posadźce, na bieli schodów, blasku prętów, na czerwieni kokosowego chodnika jego matka. Tu wisi pod każdą pajęczyną, pod każdym schodem wycieranym mozołnie, na każdej mosiężnej klamce, na kurku od gazowej lampy, a głównie na posadźce, na czerwonej posadźce, na wspanialej posadźce żyje w pyłku każdym, wróg tego pułku, wróg rdzy, wróg zaśniedzenia, wróg zimna, brudu i kurzu, wróg pajaka — matka Piotra.

Piotr, schodząc ze schodów wdół ku sieni, widzi ją w środku bramy, skuloną ku ziemi w pasie. Obok stoi pełne wiadro wody.

Schylona matka ma wielkie biodra w marszczonem spódniczysku. Kolyszą się te biodra z boku na bok, jak próżna nadęta bania. Matka kuli się nad posadźką i zatacza półkoła mokrą szczotką. Widzi jak się skula i rozkula, uparcie łamie w pasie. Podobna jest w ruchach do śmiesznego kowala z dykty, którym przed laty bawił się Piotruś, pobudzając go do ruchu sznurkiem.

Taka to jest tu w tej wspanialej starej sieni kochana jego, stara matka.

Piotr zatrzymuje się z tyłu za kłębkim zmywającej sien matki. Chce co coś spytać. Musi jednak czekać, aż wielkie biodra skręconej w kulak stróżki wyprostują się nieco i opadająca spódnica przykryje białe ciało nadkolan i czerwone tasiemki na pomarszczonej czerni pończoch, sporządzone z okrawków starego fartucha.

Michał Rusinek

Człowiek

Wtedy matka, stara matka, odgarnie czarny zlepek włosów... Naraz Piotr widzi jej dragające ramiona, wyciągnięte ku bramie i słyszy głos, straszny głos, krząjący poprostu kości:

— Piotruś, Piotruś!

Co to jest, co się dzieje? Strach, paniczny strach trzęsie całą bramą. Co to jest, skąd go wołają, gdzie go wołają? Głos matki jest szeroki, przejmująco szeroki. Już nie żadne „Piotruś” ale strasliwe „Piatraaś, Piatraaś!”

— Piatraaś! — dudni w trumnie gotyckiej bramy. Jest w tym wrzasku długi drąg do zapalania gazu, marchew i pietruszka z piwnicznej wnęki, jest pomyjak, wiadro wody, są beki z pomyjami hotelu „Metropol”, szczury, króliki i firanki, krochmalone firanki, obstrzępione nad klamką, firanki w tamtych drzwiach od klozetu na prawo, od piwnicy na lewo.

Piotr dopada stróżki i chce krzyżeć:

— „Co jest, mamó?”

Ale stróżka go nie widzi.

— Piatraaś, Piatraaś — krzyczy na całą bramę.

Mokre ręce stróżki telepią się w strachu, wyciągnięte ku bramie.

Gruchnęło z wielkim hukiem wywrócone wiadro. Woda krwią rozlała się po czerwonej posadźce.

Wtedy dopiero Piotr skoczył zwinnie jak szczur do wylotu bramy.

Na ulicy auto wpadło na chodnik i zgrzytało blachami o mur klasztorny. Mały chłopiec w żółtej sportowej koszulce i spodenkach po kolana uciekał bosymi nóżkami prosto ku otwartej bramie. Wydawał się nieprawdopodobnie mały obok potwornych, obrośniętych w kudły nóg koni z browaru Gąsiorka, które zadzierały nad nim z prawej strony kopyta.

— Jajaj! — wrzeszczały z boku ulicy przerażone baby.

Dziecko dobiegało już chodnika. Naraz potknęło się o krawężnik i upadło w rynsztok na kratę kanału.

— Jajaj! — piszczały przeraźliwie baby.

Buchnął w bramę z całej siły dyszel. Cztery zadarte kopyta zaczęły grzebać nad rynsztokiem powietrze, szukając czegoś twardego w pustce.

Wtedy Piotr gruchnął kolanami o jezdnię. Beknęło mu w brzuchu. Jakiś niezgrabny ruciaty ruch rąk rzucił na kratę kanału, ale mimo to zdołał porwać dziecko z ziemi.

Przez ten jeden moment, gdy klęczał u stóp śmierci w cuchnącym rynsztoku, otwarło mu się w duszy. Z tej kraty kanału wyszedł w świat i na tę kratę wrócił. Z kanału wyszedł i do kanału wrócił. Tu było jego miejsce i miejsce wszystkich jemu bliższych, tych co umarli, i tych co żyli, dawnych stróżów i dzisiejszych stróżów, dawnych stróżek i dzisiejszych stróżek, dawnych Piotrów i dzisiejszych Piotrusiów.

W chwili, gdy był pewny śmierci, nicbo otwarło mu się w duszy, że on, Piotr Ożeluch, dawny czyściciel tej kraty kanału, porywa stąd nowe życie, nową radość, nowe nadzieje świata Ożeluchów — przyszłe pokolenie. On kładł się na kanał pod kopytami koni Gąsiorka, tu na ulicę wypluwał swój mierzący dostatek, nadmiar białego chleba, ale wyrzywał jednocześnie stąd nowego siebie, nowego syna stróżowskiego, Piotra, nowego człowieka z bramy, który miał unieść ku słońcu wszystkich pozostałych Piotrów, otworzyć przed nimi w całej rosnącej, dojrzewającej Polsce jeden wspólny, święty dzień białego chleba.

Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, jak uskoczył w bok z chłopcem w ręce. Słyszał tylko, że dyszel dźwięknął o złote ucho bramy i zesnął się z churgotem po debowych deskach.

Jeszcze wierzyły konie i wrzeszczały baby.

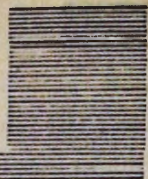
Potem cofnięty wóz i tłum zbiegł się wokół wejścia. Piotr wziął dziecko na ręce i wszedł do bramy. Tłum warczał, auto tam jeszcze grało, wóz trzeszczał, ale jemu wydawało się już teraz całkiem cicho.

Stróżka przygarnęła dziecko spazmatycznym ruchem do mokrego fartucha, zaczęła całować je i gładzić po każdej cząsteczce maleńkiego ciała i krzyczała w płaczu wielkim.

— Piotruś, Piotruś... o mój Piotruś, Piotruś.

z bramy

Dokończenie



Plakała bezustanku i głośno, tłum warczał, wóz trzeszczał i auto jeszcze grało, a było całkiem cicho. Tylko to inie dzwoniło w świętej bramie.

— Piotruś, Piotruś.

Stróżka miała torby pod oczami, wydłużony w płaczu nos, cerę zniszczoną, twardą na chudej wyniszczonej twarzy. I szyję zmarszczoną, starą szyję, a nawet śmieszne wąsy, opylone, zroszone wąsy.

J. Akuraters

Tłumaczył z lotewskiego M. Miż-Miszyn

Wieczór pełen mgły złocistej opadał nad Jelgawskie domy, kościoły, wielki zamek książe, wody i niwy. Miasto było tak małe w ogromnej przestrzeni pól i lasów i w poświęceniu nieba, tak małe, jak czararowana w wielkiej misterii pasterka, która zasypia w modlitwie na kolanach.

Po równej drodze od strony ziemi niemieckiej liczne powozy zjechały do miasta. Jedna z karet była niewymownie lekka, obca, niewidziana. Powozy zatrzymały się przy zamku. Towarzyszący kłaniali się głęboko, gdy z karety wysiadł pan ubrany w stylu rokoko, pełen powagi, smutku i dumy.

Na zamku w ów wieczór lampy płonęły jaśniej i służba uwijała się lekko, szeptać tajemniczo:

— Jego Królewska Mość...

Jego Królewska Mość, król francuski Ludwik XVIII pozostał długoletnim gościem na zamku Jelgawskim. Czarowało go wszystko w tym nowym kraju: spokój, piękno, nieogarnione równiny, połyskujące rzeki i lasy oraz słoneczne dni. Odpoczywał po tragedii swego życia, której ostatnie obrazy zagasy tak krwawo nad brzegami Sekwany.

Czas od czasu, kiedy już przybyli najbliżsi przyjaciele i dworacy, w różnych salach rokoko odbywały się wystawne przyjęcia, szczebiotały damy, słyszało się piękny język francuski. Królowi wszystko przypominało Wersal. Wspaniały, przez mistrza włoskiego zbudowany, zamek ze swymi jasnymi salami w wybrednym stylu i kraj z polami, wodami — wszystko unosiło jego myśli daleko stąd, do ojczyzny, z której został wygnany przez krwawą rewolucję.

Wydawało mu się wtedy, że wrócił do czasu jego sławnego dziada, kiedy życie, jak powódź lekkiej piany szampana, pełne było miłostek, pieśni, muzyki i radości. Tak samo miały miejsce wśród jego otoczenia dramaty i komedie miłosne, tak samo połyskiwali biela kolnierzy markizi i słodkie było wino. Była to miniatura życia, ale niewymownie cudna i lekka.

I tylko gdy nazajutrz po takim przyjęciu król podchodził do okna i spoglądał na domy Jelgawy, zdawał sobie sprawę z tego, że znajduje się na obczyźnie. Jego Paryż był bezgranicznie daleki. I przy-

Ktoś jej coś szepnął w ucho. Strzepnęła naraz głową, jakby się opamiętała. Puściła jedną ręką dziecko, a drugą chwyciła dłoń Piotra i podniosła ją do swej twarzy.

Ręka stróżki była szorstka, zadzierzasta, strzępiasta od ciupania węgla w piwnicy, od szorowania podłóg, drzwi i klamek, od kilofa do ciupania lodu zimą na chodniku, od rąbania kłóców na podpałkę i trzepania dywanów, od mioteł, wiader, żelazka od magli, chloru, ługu, od wykręcania ściąganych szczytami i od ryżowego pendzla do szorowania na biało wychodków.

Zanim stróżka opamiętała się, Piotr schylił się ukradkiem do tej ręki i pocałował ją w grube sznury żył.

Tłum oniemiał.

Stróżka przestała naraz płakać.

Wtedy Piotr skulił się, wpełchnął ze wstydu głowę między ramiona, ścisnął mocno powieki, żeby nie widzieć ludzi, i wszedł szybko w ciżbę.

Tłum się przed nim w ciszy rozstał.

Było słońce.

KONIEC

Dwóch władców

pominając to cudowne miasto, król przypominał tragedię swego narodu. I kiedy na dziedzińcu lub gdziekolwiek w korytarzu spotykał ojca Firmonta, spowiednika swego brata, nieszczęśliwego króla Ludwika XVI, wtedy ostry ból targał jego duszą, jak nieubłagalna ręka śmierci. Nagle wstawała w nim przeszłość, która nosiła ślady krwi. Rozwścieczony naród z rewolucyjnymi pieśniami, ucieczka, ukrywanie się, trybunał ludowy i później — szafot. Królowi wydawało się, że za ojcem — mnichem idzie cień jego brata i cień królowej. Pewnego razu, gdy, wszedłszy do pokoju Firmonta, zobaczył na stole złoty kieszonkowy zegarek zgilotynowanego króla, który w ostatniej chwili przed śmiercią sprezentował swemu spowiednikowi, wydało mu się, że jest to złote serce całej ukochanej Francji, które może zgasnąć, jak wszystko, co kiedyś było sławnym i pięknym i co nagle przechodzi w ciszę śmierci.

Wtedy ogarniał króla głęboki smutek. Wtedy zamykał się sam w swoim pokoju, polecał opuścić zasłony na oknach i przeżywał dni pełne wątpliwości. Twarz jego nabierała żółtych odcieni, oczy traciły blask i krok stawał się niepewnym. Najbliżsi króla starali się wtedy ciężar leżący na jego sercu rozproszyć polowaniami w nieogarniętych lasach zemgalskich lub podrózkami po kraju i licznych zamkach.

Ale o narodzie, który zamieszkiwał tę ziemię, król Francji nie miał jeszcze żadnego pojęcia, jak nie miał pojęcia o tym narodzie, który głowę swego króla i królowej, zamiast na tronie, złożył na gilotynie.

II

Pewnego razu, w sierpniu, kiedy pierwsze powiewy jesieni dają się jeszcze ledwo ledwo odczuwać w pięknych błękitnych lasach zemgalskich, smutek ogarnął króla z taką siłą, że zagrażał poważnie jego życiu. Trzeba było uciec gdziekolwiek bądź, jeśli nie można było dostać się do Francji. Rozkazał więc osiodłać koni, zabrał ze sobą najbliższego ze swego

dworu połyskującego markiza i podążył po wiejskiej drodze w stronę lasów. Towarzyszyło im tylko kilku sług, również konno.

Dzień był pełen słońca. Połyskujące okrągłe obłoki leżały na niebie, jak góry białych róż, ziemia pachniała jeleniem, a wszystko oddychało taką pełnią, jaką pola zaczynają się szykować na spotkanie jedynie w Zemgalii można wyczuć, kiedy jesieni i na drzewach osiada brązowa rdza od ciężaru słońca. Król z towarzyszącymi mu osobami szybko zginął w polach i gajach, a mocarna przyroda przyjęła go w swojej boskości, jak małą zbłądzoną pylinkę, którą wiatr przeznaczenia zapędził w te nieogarnione przestrzenie zemgalskie.

Po kilku godzinach galopu, król opuścił cugli i koń jego wolnym krokiem postępował drogą, która teraz z pól i niw prowadziła lasem. Jaka dziwna woń, jaki cudowny nektar! Między białymi kolumnami brzoź wznosi się czarna ciemnia smreków, potężnych lip i jesionów, które wyglądają raczej na drzewa w Elizeum, ale nie na ziemi. Ogromne konary drzew, czerpiące z czarnej błotnej ziemi swoje życie, tworzą wraz z pniami cudowne w swej pierwotności zjawisko. Tu i ówdzie jeźdźcy dostrzegali sarny czy jeleni przebiegających drogę. A nad tym wszystkim pałało ciężkie słońce, napelniając złotem powietrze. Ledwo dostrzegalny wietrzyk poruszał od zewnątrz gałęzie brzoź, które schylały się jak zielona fala ku ziemi. W wysokich lipach i debach dźwięcznie brzęczały roje oszczoł, napelniając ten błękitny dom słodką muzyką. Zapach miodu raz po raz dolatywał jeźdźców od potężnych dziupli drzewnych, w których latami goszczące roje odbierały setki miodnych plastrów.

Król, wydawało się, był pełen dobrych myśli. Może przypomniał swoje polowania w gajach Wersalskich, może oczekiwał, kiedy z za krzaków zjawi się przebrana pasterka, ażeby uwodzić go dalej, jak to działo się zwykle w ogrodach dworskich wytwornej Francji.

(Dokończenie na str. 10)

**„NAJPIĘKNIEJSZY DZIEŃ W MOIM ŻYCIU”
JAN KIEPURA OPowiada HISTORIĘ SWOJ
KARIERY Z OKAZJI 10-LECIA WYSTĘPÓW
ZAGRANICZNYCH**

W początkach sierpnia roku 1926 przybył do Wiednia z Warszawy młody, przystojny śpiewak, pragnąc zatrzymać się w Wiedniu tylko przejazdem, gdyż, jak mówił, jedzie do Paryża, aby, jako znany w Polsce tenor, artysta opery warszawskiej, próbować także szczęścia zagranicą.

Jego wyjazd do Paryża został już z góry postanowiony, czego dowodem był także kupiony już do stolicy Francji bilet kolejowy.

Stało się jednak inaczej. Bohater tej fantastycznej powieści, Jan Kiepura, ów przybysz z Warszawy, przypomina historię swej niebywałej kariery.

— Miałem podówczas 23 lata. W wyniku konkursu śpiewaczego w jednym z cyrków w Warszawie otrzymałem miano „króla tenorów”. Miano takie — mówi Kiepura żartobliwie — nadał mi pewien... fryzjer, który był obecny na konkursie, prawdopodobnie z wdzięczności za to że... goiliłem się często u niego...

Jeden z impresariów kazał mi jechać do Paryża, obiecując kilkaset dolarów za występ. Myślałem, że to — hochstapler.

Ale Leliwa i Brzesiński dodawali mi otuchy. Prawda — mówi Leliwa — że są śpiewacy, zarabiający po kilkaset dolarów za występ. Jest to wprawdzie mało prawdopodobne, ale mimo wszystko... możliwe...

Na takie „dictum” zdecydowałem się na wyjazd do Paryża.

W Wiedniu, który miałem zamiar opuścić najwyżej po 48 godzinach, wzięli mnie odrazu w obroty agenci koncertowi, obiecując 150 dolarów za występ i procenty...

Myślałem, że to żart i zażądałem zaliczki. I o dziwo — dostałem ją. Wypłacili mi na rękę 1.050 szylingów!

Kiedy poczułem te pieniądze w kieszeni, zaczęłem sobie zdawać swobodną sprawę, że jednakże wszystko jest w porządku...

Radość moja była tak wielka, że zamiast jechać do Włoch celem przerobienia kilku oper, samolotem poleciałem do Warszawy, aby pokazać swój kontrakt i — pieniądze: całych 1.050 szylingów! Uczyniłem to dlatego, aby moi znajomi nie myśleli, że ich „bujam”, po czym wróciłem do Wiednia.

I oto stało się coś wielkiego. Kazano mi iść

Reflektorem

do potentata wiedeńskiej opery państwowej i jej dyrektora Schalka.

Było to dnia 17-go września 1926 roku. Daty tej nie zapomnę nigdy.

Schalk stał już w drzwiach na odchodnym, nie przywiązując, zdaje się, zbyt wielkiej wagi do mojej wizyty. Ale gdy zacząłem śpiewać, usiadł. Śpiewałem mu 8 rozmaitych aryj i to w większej części po polsku.

Po niemiecku nie umiałem ani słowa. Kazał mi śpiewać frazę wysokiego „C” z „Fausta”. Potem śpiewałem mu jeszcze na wrywki rozmaite frazy.

A wtedy stało się coś nieoczekiwane. Ten surowy, zamknięty w sobie dyrygent, z którego ust nie wyszła wogóle dotąd żadna pochwała, wykrzyknął:

— Bezczelnie piękny głos! — i kazał mi dalej śpiewać...

A potem wstał i spytał:
— Czy może pan za cztery dni śpiewać w operze „Tosca” po — włosku?

— Powiedziałem, że... mogę — uśmiecha się Kiepura, choć nie znalazłem jeszcze tego języka. — Ale w duchu pomyślałem sobie:

Jeśli nie będą mógł śpiewać po włosku, będę śpiewać po polsku.

WŁADCY NA WYGNANIU

Jedno z pism angielskich interesuje się bardzo prywatnym życiem byłych władców, mieszkających dziś na wygnaniu, zdała od swej ojczyzny i splendoru swych dworów. A więc przede wszystkim eks-kajzer, Wilhelm II, mieszkający w Doorn (Holandia) od lat 18-tu.

Czuje się jakoby doskonale, jest pełen sił, przy dobrym zdrowiu. Oddaje się z zamiłowaniem ogrodnictwu, zwłaszcza pielęgnowaniu ukochanych róż. Ogromna religijność byłego cesarza podtrzymuje w nim wciąż wiarę, że jest on wybrańcem Boga, predestynowanym w dalszym ciągu do spełnienia wielkiej roli w swej ojczyźnie... Tę wiarę oraz optymistyczny nastrój co do „powrotu do Berlina” — pielęgnuje w eks-cesarzu obecna jego towarzysząca życiowa, „pompacyjna cesarzowa” Hermina, zwana pieszczotliwie — „Mimi”.

Rzecz prosta, że wszyscy zdają sobie doskonale

sprawę, iż Wilhelm II nie powróci nigdy w progi Berlina i żadnej już więcej roli nie odegra, ale otoczenie jego najbliższe — „dawi się” w urządzenie uroczystych przyjęć przy „dworze”, przestrzeganie dworskiego ceremoniału i t. d.

Najbardziej uroczystym dniem w roku — są urodziny eks-cesarza. Na dwadzieścia cztery godziny — dwór w Doornie — przekształca się w dawny dwór w Poczdamie! Ze wszystkich szaf i kufrów wyciągane są, przepojone zapachem naturalny, oczekujące złotem i purpurą galowe mundurki, płaszcze podbite gronostajami, orderki, epolety.

Największy salon w pałacu — przekształca się w salę... tronową, żarzą się kandelabry, dzwonią ostrogi, paradują mundury, puszą się wydekolowane damy dworu, przyjeżdżają synowie i wnuki, jeżdżą kron-prince, wielbicieli i wielbicielek eks-cesarza.

Wilhelm II otrzymuje sporo kosztownych prezentów i rzadkie okazy kwiatów. Przygotowane zazwyczaj specjalną „tronową” mowę, wydaje bankiet dla swego dworu, pełen galanterii i uniżoności dla „cesarzowej” Herminy, na której cześć wnosi pierwszy toast i t. d.

Po tym pompacyjnym dniu swoich urodzin, eks-cesarz wraca do cywila, podlewania róż i kładzenia pajansów, a „boska” Hermina z przetrzeźwioną każdą praktycznej Niemki — dogląda kamerdynerek, którzy chowają z powrotem do szaf i kufrów splendory wczorajszej pompy.

Życie w Doorn wraca do codzienności i smęnej rzeczywistości...

Epopea życia byłej cesarzowej austriackiej Zyty — i jej dzieci — mogłaby posłużyć jako sensacyjny temat do powieści.

Po długich wędrówkach i szarpaninie — eks-cesarzowa ze swymi dziećmi osiadła już od sześciu lat w ponurym, starym zamczysku belgijskim, w pobliżu Brukseli.

Ale przed tym ile przygód i frasunków! Ucieczka przed rewolucją na angielskim krążowniku, który nadszedł eks-cesarzowej z pomocą. Czarna Morze, Malta, Gibraltar, Jezioro Genewskie (skąd czynione były dwukrotnie wysiłki przywrócenia se-

Dokończenie

tułowiu było bardzo dziwnym. Ogromny wianek ciemno — złocistych włosów otaczał jego głowę, a częściowo nawet twarz. Włosy przy tym układały się w takie kółka i loki, że każda dama z dworu Wersalskiego mogłaby pozazdrościć temu człowiekowi fryzury układanej jedynie ręką przyrody. Twarz miał rumianą, opaloną w słońcu. Ciemnobronzowa broda opadała na piersi. Z twarzy patrzyły oczy jasne i tak czyste i błękitne, że przybyli, zaskoczeni ich wyrazem i kolorem, spojrzeli na siebie pytająco. Czerwone usta wypowiedziały kilka słów, których goście nie zrozumieli. Ale im się wydało, że są to słowa bardzo mało znaczące, są znikome wobec tego olbrzyma. Tak mógł może wyglądać bohater sag romantycznych Barbe Bleu albo sam Roland, który już dawno zgasł w mroku legend w górach Francji i Hiszpanii. Mogło to być też jakieś mitologiczne zjawisko, gdyby przeszłość nie była tak daleką.

Ubrany był w jasną koszulę, która, odsłonięta od góry, ukazywała bohaterską pierś olbrzyma i muskuły. Na nogach miał jasne z jeleniej skóry buty.

Zanim goście zasiedli na ganku do białego stołu, ukazała się przedziwnie młoda i uśmiechnięta kobieta. Włosy miała spięte w kilka warkoczy, które swobodnie opadały na plecy, jak wijące się złote pierścienie, połyskujące w świetle dnia. Twarz jej była również opalona w słońcu i oczy równie jasne, połyskujące i śmiejące się, jak u jej ojca. Za nią szła starsza, która postawiła na stole ogromny białą czaszę ze złocistym, pachnącym miodem i szczegółnymi łyżkami oraz

J. Akuraters

Tłumaczył z lotewskiego M. Miż-Miszyn

Dwóch władców

Ale dookoła czuć było tylko oddech głęboki i słodczyz lasu, ale dookoła była cisza. Wszystko to wyglądało raczej na jakiś bór z dawnej legendy, w którym w stuletnim śnie śpi zaczarowana nimfa, o czym nieraz czytywał król w bajkach jako o wzorze wszystkich piękności.

— Spójrzcie, markizie, jaki spokój — rzucił do swego towarzysza.

Mnie się wydaje, że we Francji nie ma nic podobnego. Czarownie...

— Dziwny kraj, Wasza Królewska Mość. Mnie się zawsze wydaje, że może on człowieka omamić i zasmucić. Przejechałszy już dobytek kilka godzin, a równina nie zmieniała się wcale, jak gdybyśmy się znajdowali na powierzchni jakiegoś morza. I pomimo to tyle siły i bogactwa! Książęta Kurzemscy mogli być dumni ze swego państwa.

Rozmawiający zsiadli z koni i odpoczywali na brzegu rzeki. Za rzeką widoczne były tu i ówdzie pola i niwy, pełne wędnącej trawy i kwiatów.

Nagle ciepłą ciszę zfalował odgłos trąbki idącej z daleka. Dźwięki były długie i jakoś charakterystycznie drzące. Było w nich coś z przeszłości, co przypominało czasy greckiej Arkadii albo zawołania rzeczywistych pasterzy.

Król zadrżał. Wydawało się mu, że stamtąd zbliżał się ktoś ogromny, nieogarnięty.

Markiz wysłał posłańców, ażeby się dowiedzieli skąd pochodzą dźwięki, które wciąż się powtarzały.

Po pewnym czasie posłańcy powrócili i donieśli, iż w pobliżu znajduje się jakieś gospodarstwo z polami, łąkami i z wielką ilością bydła. Król chciał je zobaczyć więc wszyscy udali się w stronę, z której dolatywały dźwięki trąbki.

Brzegiem czarnej, głębokiej rzeki, po przez zagajnik czarnej olchy i jesionów, obok ogromnych konarów leśnych, które w czasie jednego lata osiągały nieogarniętą wysokość, podróżni wyszli na łąkę. Na ledwo znacznym wzniesieniu widniał dom z charakterystycznym szerokim trzcinowym dachem, licznymi przybudówkami, ogrodem i drzewami... Dookoła domu złościła się pszenica, z której część już zżęta stała w snopach. Głos trąbki zwoływał pracowników na śniadanie. Na ogromnym ganku, którego dach opierał się na drewnianych słupach i z którego się wchodziło do domu, siedział jakiś dorodny mężczyzna. Spozstrzegł on zbliżających się jeźdźców więc wyszedł im na spotkanie i zapraszał na podwórko. Ponieważ gotował się obecnie do śniadania, przeto i gości zaprosił do stołu.

Król i markiz weszli na ganek i ze zdziwieniem oglądali gospodarza. Był jak wylany z brązu, słusznego wzrostu, sprężysty i ruchliwy, co przy masywnym

po świecie

bie tronu), wreszcie Funcał, nędza, śmierć ekscesarza Karola, etap życia w zapomnianej przez świat rybackiej wiosce, nieprzeliczone trudności przy chowaniu sześciorga dzieci, którym biedna matka nie była w stanie na razie dać ani odpowiedniego wychowania, ani nawet niezbędnego odżywiania.

Aż wreszcie w latach ostatnich skromne, ale spokojne wygnanie na zamku belgijskim, dobrobyt i wrastająca popularność w polityce międzynarodowej księcia Ottona.

Czym się skończy ta barwna smutna karta życia ekscesarowej? Zresztą, najgorsze ma za sobą. Dzieci podrosły. Najstarsza córka Zyty — księżniczka Maria mieszka stale w Wiedniu, bierze udział w wszystkich oficjalnych przyjęciach i uroczystościach. Zwolennicy powrotu Habsburgów na tron austriacki — wciąż zabiegają o przyszły los arcyksięcia Ottona. Być może marzenie matki się ziści — jej chluba i duma, syn Otton, zasiądzie na tronie...

Były król hiszpański Alfons XIII, po długim, pełnym komfortu, pobycie w Anglii i Francji — zainstalował się jak sam mówi — „w cichej przystani” — w Rzymie i mieszka ze swoją najmłodszą, jedyną, która nie wyszła za mąż, córką. Bieda mu nie grozi...

A co się dzieje z głośnym swego czasu królem Afganistanu, z Amanulahem? Dobrze jeszcze pamiętamy, jaką się cieszył popularnością i szacunkiem podczas swego tournée po Europie. Po wspinałym apartamentem w Buckinghamskim pałacu w Londynie, po pięknym zamku w Genewie — ekskról znalazł się jednak w poważnych tarapatach finansowych i musiał na gwałt szukać jakiegoś zajęcia, aby dać swej licznej rodzinie przeciętne warunki egzystencji.

Gdy zbiedniał — przestał być popularny. Po mnóstwie niefortunnnych przedsięwzięć handlowych, zbankrutowany do reszty — pracuje jako agent jednej firmy, zajmującej się sprzedażą nieruchomości, i mieszka więcej niż skromnie w Rzymie.

W liczbie wygnanców znajdują się również

naczynie z mlekiem, drewniane talerze i w drewnianych półmiskach masło i chleb. Kiedy wszystko już było na stole, gospodarz znakomity zaprosił gości do jedzenia, gdyż nie rozumieli oni jego języka. Król uważnie wziął kromkę chleba. Wydawało się, że pachniała ona kwiatami i oddechem pola, tak samo, jak mleko i miód. Nigdy i nigdzie czegoś podobnego nie próbował. A ta dziwna księżniczka, której bliskość sama promieniowała jakimiś czarami i szczególnym spokojem, stała tuż obok niego i podawała wszystko, co potrzeba. Czy to nie była usta Heby, plecty Wenery i pierś Demetry, których statuum król niejednokrotnie przyglądał się błędząc po parku Wersalskim? Ale tamte boginie były znieruchomiałe, chłodne. Ta była żywą, uśmiechniętą, wolną, pełną zapachów ziemi i gorącego oddechu... Król musiał kilkakrotnie spoglądać na podwórze i na pola, które leżały dookoła w powodzi słońca, ażeby zrozumieć, że nie marzy, ale znajduje się wśród żywych ludzi. Pomimo to jednak wciąż i wciąż powracało złudzenie, że wszystko to są czary.

Potężny mężczyzna jadł tak, jak jeść mogli tylko legendarni olbrzymi. Mleko, miód, chleb znikali szybko w jego ustach. Na jego dużej ciemnej brodzie, którą chlubić się mógłby każdy z prahistorycznych królów, połyskiwały już liczne kropki miodu, jak złota rosa spadająca na dół.

Po skończeniu śniadania wszyscy wyszli znowu na podwórze w jasne słońce. Król coś powiedział do markiza i ten zawołał na jednego ze slug, który trochę rozumiał po lotewsku.

Abd-El-Krim, ongi okrutny wódz dzikich plemion w Afryce, który swego czasu nie mało kłopotu przyczynił Hiszpanom i Francuzom w Marokko, póki jego zwycięzcy nie obezwładnili go.

Wzięty do niewoli Abd-El-Krim błagał marszałka Petain'a, głównego zwycięzcę, aby pozwolił mu dokonać żywota w ojczyznych swych górach, przysięgając, że nigdy nie podejmie oręża przeciwko Europejczykom — ale został zesłany na wyspę Zjednoczenia na Oceanie Indyjskim i tam, na wzór Napoleona I, mieszka już od 10 lat, strzeżony przez władze francuskie.

Skromny i zamknięty żywot pędzi w Anglii (hr. Surrey) były król Siamu, przekładając pracowity żywot w fermie brytyjskiej, w gronie swej rodziny, nad burliwą atmosferę własnego kraju.

A ostatni, niefortunny władca Abisynii? Negus Haile Selassie?

Trudno narazie przewidzieć dalsze dzieje tego dobrowolnego wygnanica. W każdym razie doła jego będzie napewno mniej tragiczna niż wielu jego „towarzyszy” w nieszczęściu. Zdołał on bowiem uciec do Europy z całą swoją świtą, przyjaciółmi, rodziną i dużym majątkiem osobistym.

Majątek prywatny negusa obliczają na 500.000 funtów szterlingów. Zabezpieczy to życie jego i licznej rodziny.

JAK TO GARŚC JEŃCÓW FLOTĘ TURECKĄ GROMIŁA

Głośnym po całym świecie echem odbiło się sławne uprowadzenie 4 galer tureckich przez garstkę Polaków, z Markiem Jakimowskim na czele. Rycerz ten w 1620 roku dostał się pod Chocimem do niewoli tureckiej. Wywieziono go najprzód do Stambułu, gdzie w galerach zakuto wraz z kilkudziesięciu rodakami, podobnie jak on, do niewoli wziętymi. Czekali ich ciężki los, sytuacja była bez wyjścia. A jednak Jakimowski, człowiek wielkiej odwagi i niemiejszej fantazji, postanowił wyrwać się z rąk tureckich. Gdy galery, na których polscy jeńcy byli zakuci, płynęły do Aleksandrii, zerwała się potężna burza. Galery floty tureckiej miotane były przez rozszalałe fale. I ten właśnie moment wykorzystał Jakimowski na wykonanie szal-

— Kim jest ten człowiek — zapytał król za pośrednictwem slugi.

Odpowiedź brzmiała:

— Stefan Briedis, właściciel owego gospodarstwa.

I oto stali tak — jeden przed drugim — ci władcy.

Jeden złamany wątpliwościami i bólem, wędnąca roślina z zużytą krwią swego rodu, wygnany ze swego kraju, z wysubtelnionym do przesady smakiem i świadomością, ze smutną twarzą, z brylantem Francji pod szyją, ostatni świadek złotych myśli i czasów. Drugi — duma swojej ziemi, wolny, swobodny, mocny, pełen spokoju i ufności, chorąży rozrastającego się narodu i nadchodzących nowych czasów.

Słońce południa wobec zmroku różanego wieczoru...

A dookoła leżały pola Zemgalii i lasy pełne pólów, świadkowie tego charakterystycznego spotkania.

I jak gdyby potwierdzając swoje słowa, Stefan Briedis, najslawniejszy rolnik Zemgalii, szerokim gestem ręki wskazał na pola i niwy, leżące dookoła domu, i wtedy badawcze jego spojrzenie zatrzymało się na Ludwiku.

— Jestem Stanisław Deziré z zamku Jelgawskiego — niechący wyrzekł król i skłonił zlekka głowę. Również gospodarz schylił się przed nim.

Wtedy podróżni dosiedli koni.

Gospodarz głośno powiedział kilka słów. Przed nim zjawił się młody chłopak, giętki jak jastrząb. Briedis rozkazał mu odprowadzić gości do Jelgawy.

Las znowu ogarnął przybyszów. Na

lonego planu. Wraz z kilku współbraćmi, uwolniwszy się z więzów, napadli na załogę swej galery, wybili ją w pień, a potem, resztę jeńców uwolnionych, napadli na sąsiednie galery. Rozpoczęła się prawdziwa bitwa morska. Wyzwoleni jeńcy tureccy, pod kierunkiem Polaków, dzielnie stawili czoło całej flocie tureckiej, wyrządzając jej niemało straty.

Jakimowskiemu nie tylko udało się obronić, lecz i uprowadzić cztery galery na pełne morze, zmylić pogoń Turków i po wielu przygodach dotrzeć do portu włoskiego w Palermo.

Więść o niezwykłym wyczynie Polaków rozniosła się po całej Europie. Tryumfalnie przyjmowano ich zarówno w Palermo jak i w Neapolu. W Rzymie Jakimowski złożył zdobyte na Turkach sztandary Papięzowi, który bohaterstwo polskiego żołnierza udekorował złotym krzyżem. Wzięwszy w Rzymie ślub z uwolnioną przez siebie, na tej samej co on galerze więzioną, branką, powrócił Jakimowski do kraju, by dalej w jego obronie walczyć z wrogami.

PIERWSZY LOT DO PALESTYNY. 27 ub. m. wystartował z lotniska warszawskiego pierwszy polski samolot komunikacyjny typu „Douglas” do Palestyny.

W pierwszym locie na tej dalekiej trasie, wynoszącej 3.130 klm., samolot prowadził pilot K. Burzyński.

Samolot zabrał do Palestyny pocztę lotniczą w ilości około 100 tys. listów o wadze 700 kg.

Regularna komunikacja lotnicza między Polską i Palestyną podjęta będzie w kwietniu 1937 roku.

36 WŁOSKICH REKORDÓW LOTNICZYCH
Włoskie ministerstwo lotnictwa ogłosiło w tych dniach oficjalną listę rekordów lotniczych, osiągniętych przez lotników włoskich.

Jak wynika z tej listy, w aktywach lotnictwa włoskiego figuruje 36 rekordów, t. j. tyle, ile liczą ich Stany Zjednoczone, które od lat zajmowały pierwsze miejsce w dziedzinie pilotażu powietrznego.

CZY WIECIE, ZE...

... w Ameryce stosowany jest obecnie nowy rodzaj wyłącznika elektrycznego, skonstruowanego w ten sposób, że światło gaśnie nie natychmiast, ale dopiero w jakiś czas po przekręceniu go. Ma to na celu ułatwienie poruszania się po pokoju w wypadkach, gdy po wyłączeniu światła musimy jeszcze dojść do drzwi, łóżka i t. p.

... przeciętny rozmiar ręki kobiecej powiększył się w ciągu ostatnich 20 lat o więcej niż jeden numer rekawiczki.

podwórz swego gospodarstwa pozostał Stefan Briedis, duży w słońcu odwieczera, różowy jak obłok, kiedy pochylił się nad brzozy. Już nie myślał o obcych gościach. Był pełen spokoju, jak równina, na której jego naród spędził tysiąclecia, niezniszczalny, jak marzenie lasu, pól i słońca.

III

Kiedy król powrócił do Jelgawy, zapadał już mrok. Jego myśli były spokojne i wciąż powracały do rzeczywistości niedawno oglądanej.

— Jacy szczególni ludzie, jaki dziwny kraj! — rzucił do swego towarzysza.

— Tak, Wasza Wysokość, u nas to wszystko jest już tylko w bajkach. Ten naród, mnie się wydaje, żył jeszcze w czasie legend.

Równina pachniała i spokój swoją potężną siłą wypełnił również ulice i domy miasta. Z lasów wstawała mgła i otulała swoim czarem niwy i rzekę. Szerokie niebo zemgalskie leżało nad Jelgawą jak ogromne jezioro. Wydawało się, że na dnie tego jeziora żyją tylko legendy i cudowne zjawiska.

Król myślał o pięknej wycieczce. Bogowie i boginki w Wersalu były już tylko marmurem i metalem.

Tutaj żyły one jeszcze, chodziły po ziemi.

I wydawało się, że piękna dziewczyna stoi przy jego łóżku i pachnie i kwitnie jak czarowna Zemgalia.

Diwi valdnieki. Ze zbioru opowiadań p. t. „Dzīvības sakumi” (Początki życia), wydanego w Rydze w r. 1924 przez wydawnictwo Latvian Kultūra

BUGURUSLAN POD UFA

Mała stacyjka kolejowa z czerwonej cegły w stylu znanym i u nas doskonale, a na niej napis: „Buguruslan”. Lejtnant Gawryłow mówi: „No, jesteśmy już na miejscu”.

Wysiadamy.

W poczekalni, jak wszędzie w ZSRR, tłum ludzi zle pachnących. Spotyka nas kierownik miejscowego GPU, które teraz nazywa się jak już wspomniałem — NKWD. Do miasteczka cztery kilometry, trzeba chwilę poczekać na samochód.

Spacerujemy pod stacją. Stoi tam kilka wózków-resorek do wynajęcia i tłum wieśniaków. Pytam pierwszego z brzegu: — Czy tu u was już Republika Baszkirska?

Chłop, czyli jak się obecnie mówi, kolchoznik, powiada, że nie, że tu orenburski obwód, ale że Baszkirepublika niedaleka. „Ale i u nas Baszkirów nie brakuje” — dodaje. Przyglądam mu się uważniej i spostrzegam, że on sam ma twarz szeroką kością, a oczy małe, skośnawe.

Jedziemy Fordem sowieckiej produkcji po nierównej drodze i milczymy. Jest już późny wieczór, ciemno. Po bokach migają wysokie drzewa, wreszcie dudni most, blyszczy w świetle księżycy rzeka Kiniel i jesteśmy w mieście.

— Zamieszkamy w domu kolchoznika — mówi Gawryłow, a ja kiwam głową obojętnie: niech będzie w domu kolchoznika.

Rano zrywam się z łóżka wcześniej i wyglądam przez okno. Jest piękna pogoda, słońce. Na drugiej stronie ulicy widać ogród miejski a w nim pomnik Lenina z wyciągniętą ręką. Ludzie już widocznie dawno wstali, śpieszą teraz do pracy.

Zapewne niewiele zmieniło się w tym Buguruslanie od czasów, gdy organizowano tutaj polską dywizję syberyjską w roku 1918. Osiemnaście lat temu. Tylko osiemnaście i aż osiemnaście... Wierzyć się wprost nie chce, aby to napółbaszkirskie, napółtatarskie miasteczko miało znajdować się pod władzą polską, że oto tymi uliczkami kroczyły polskie oddziały, że o koślawe mury dzisiejszego domu kolchoznika obijały się słowa wojennych pieszczot polskich.

Wszystko to było.

Jestem bodaj pierwszym Polakiem w tym mieście od czasów, gdy oddziały polskie opuściły go, aby udać się do Omska, później do Nowo Nikołajewska (dzisiaj Nowosybirsk), aby wreszcie po krwawej bitwie pod Tajgą zakończyć swój zbrojny pochód na zagubionej w bezbrzeżnym stepie stacji Klukwiennaja.

Zawsze byłem pełen podziwu dla tych Polaków, którzy na najdalszych krańcach świata pamiętali o swych obowiązkach dla Ojczyzny. Szczególnie piękne bohaterstwo, za mało u nas znane i podkreślane, tkwi w czynie tych paru tysięcy ludzi, którzy stworzyli polską dywizję syberyjską. Dzisiaj, z perspektywy lat, fakt ten staje się coraz bardziej jaskrawy. Bo oto patrzcie: pulki Dowbora-Muśnickiego, którego nazwać generałem pióro moje się wzdryga, są już zdemobilizowane, leżniści w niewoli niemieckiej. Komendant w więzieniu, druga Brygada rozbita na polu chwały... I właśnie wtedy wysłańcy Polskiej Organizacji Wojskowej z Walerianem Czumą, dzisiejszym generałem, na czele mieli śmiałość, odwagę i wielkość serca, aby przystąpić do tworzenia wojska polskiego na... Powołzu.

Mjr. Mieczysław Lepecki

To już prawdziwy

„Na pierwszą wieść o organizacji wojska polskiego ze wszystkich stron ogromnego państwa rosyjskiego ciągnęli ochotnicy. Ubrani różnorodnie, uzbrojeni we wszystkie odmiany karabinów, używanych w armii rosyjskiej, wyszkoleni według najrozmaitszych systemów, przedstawiali niejednorodną na pozór masę, spojona jednak silną ideą służenia Polsce zawsze i wszędzie, gdzie tylko zajdzie potrzeba.”

Szukam śladów pobytu tych bohaterów w Buguruslanie, ale, niestety, nie znajduję ich. Ludność pomieszała ich z Czechosłowakami, chociaż na ogół świadomość pobytu Polaków jeszcze się kołaje.

Poszedłem na cmentarz. Jest tam cerkiew z zielonymi kopułami i stary brodaty stróż. „Gdzie tu chowali Polaków?” — pytam. Ku memu zdziwieniu stróż wie. Wskazuje ręką w oddalony kąc cmentarza i mówi: „Tam chowali”. Więć jednak — myślę, ślady jakiegoś są. Najżałośniejsze, jakie mogą istnieć, cmentarne, ale są.

Idziemy we trzech: ja, Łagoda i lejtnant Gawryłow. Prowadzi nas brodac. Najpierw spotykamy porządną nagrobek z polskim napisem: Jan Nepomucen Kunaszewski, sędzia, zmarł w roku 1913. To nie to, szukamy dalej, ale, niestety, oprócz kilku bezimiennych krzyży jednoramiennych, katolickich, innych śladów nie znaleźliśmy.

Jest godzina ranna. Słońce świeci pięknie i błyszczą na złotych ramionach krzyży, wystrzelających z baniastych kopuł cerkwi. Mijamy świątynię. Wrota do niej otwarte szeroko, przed nimi kilkunastu ludzi, przeważnie kobiet.

— Cóż to, nabożeństwo dzisiaj? — pytam brodacza.

Brodacz patrzy bokiem na Gawryłowa i mówi:

— Dziś, obywatelu, niedziela.

Zapomniałem na śmierć o tym. W ZSRR skasowano świętowanie siódmego dnia tygodnia, odpoczynek „niedzielny” wypada co sześć dni, jest więc ruchomy w stosunku do poszczególnych dni tygodnia. Nawet jednak ten dzień szósty, wychodny, niewiele różni się od codziennego, gdyż sklepy i wszystkie urzędnictwa usług komunalnych są otwarte. Zapomniałem więc o niedzieli. Ale w Buguruslanie o niej pamiętają. Jak za czasów carskich kłoni się tutaj wiele głów przed imieniem Boga. Są to jednak głowy przeważnie okryte siwizną...

POZA URALEM

Z Buguruslana do Nowosybirsk jedzie się koleją dwa i pół dnia.

Mijamy najpierw Ufę, stolicę republiki Baszkirskiej, podziwiając dziwaczne napisy mowy krajowej, wyrażonej alfabetem tacińskim. Jest noc, więc widzę niewiele, a gdy rano otwieram oczy pociąg pędzi już przez nieprzejrzaną równinę stepową, ciągnąca się od Uralu do Bajkału na przestrzeni około trzech tysięcy kilometrów. Jak okiem sięgnąć ciągną się soczyste trawniki i uprawne pola. Im

*) Z książki „83-ci syberyjski pułk piechoty” pióra mjr. dypl. Włodzimierza Srokowskiego.

dalej, tym mniej pól, mniej śladów człowieka. Pociąg pędzi przez kraj, rzadko zaludniony nawet przy torze kolejowym. Stacyjki drewniane, małe, a na nich zaw sze i nieodmiennie gromada kolchozniczek, sprzedająca podróżnym jajka, pieczone kury i mleko w butelkach. Podróżni są, kaja, że drogo (dziesiątek jaj 4 ruble), ale kupują, bo w pociągu nie ma wagonu restauracyjnego. Biorą do imbryków wodę gorącą z dużych pieców, zaopatrzone napisami kąpiatki bezpłatnie i pośpiesznie wracają do wagonów. Ale śpieszą się niepotrzebnie, bo pociąg nigdy krócej niż pół godziny nie stoi. I tak jesteśmy już spóźnieni osem godzin, więc niech tam.

Mijamy rzekę Tobol pod Kurhanem, gdzie zbiegają się dwie linie kolejowe, przecinające Ural: południowa, idąca od Samary i Ufy, oraz północna, zdążająca również od Moskwy przez Wiatkę (obecnie Kirów) i Swierdłowsk. W Kurhanie nad Tobolem łączą się, aby dalej stać się wielką koleją transsyberyjską.

Ural już daleko; za nami pozostał też Czelabińsk, teraz przecinamy stępy republiki Kazachstańskiej. Kazachstan należy do jednej z największych republik autonomicznych Związku Radzieckiego. Projekt nowej konstytucji sowieckiej awansuje go z „republiki autonomicznej” na „republikę związkową”.

Stacja Isyk Kul nad rzeką Iszymem.

Jan Skotis (Sternik)

Nieszczęśliwy

Zauważyłem, że są rejсы pomyslnie i zle. Jeden z takich niefortunnych rejсов spotkał mnie na parowcu „Laimdota”.

W wigilię Bożego Narodzenia wychodzimy w morze. Ładowcy obładowani świątecznymi podarunkami śpieszą do domu, aby wraz z zabyśnięciem gwiazd, zapalić świece na choince. My tymczasem opuszczamy port. Czekać na wysoką wodę, umożliwiającą otworzenie szluz dokowych, zasiedliśmy do wigilii. Napręde spożyta kolacja, wzajemne życzenia spędzenia przyszłych świąt w domu, małe rozczulenie i znów surowe karby służbowe ujęły życie. Zmiana wart. Przy sterze stojąc rzucam jeszcze ostatnie spojrzenie w stronę, gdzie pozostały Święta Bożego Narodzenia, gdzie ludzie wierzą, że żyją. Zgasły światła latarni morskich, gęsto rozsianych na brzegu Holardii. Ciemność nocy owinęła statek, zaryzujący światłami pozycyjnymi: na prawej burcie zielonym, na lewej — czerwonym, a na każdym maszcie — białym. Ognie takie są przepisowe. Ich położenie na horyzoncie mówi o kierunku statku i o tym, jakiego się należy trzymać kursu, aby nie było awarii. Kompas, mózg okrętu, pokazuje drogę w bezgranicznych przestrzeniach. Ruch, kierowanego mocną ręką, koła sterowego prowadzi statek po wytkniętym kursie. Ale nie zawsze oczy sterującego widzą strzałkę kompasu. Nie raz w busoli skaczą wspomnienia mila

Sybir...

dopływem Obi, jest stacją węzłową. Stąd odchodzi na południe długa gałąź kolejowa do Akmolińska i dalej, aby urwać się w samym sercu Kazakstanu, u progu Głodnego Stepu. Mieszkają tam miliony Kirgizów. Chociaż ich niepodległość nie jest istotna, chociaż w gruncie rzeczy rządzi nimi Moskwa, niemniej jednak język kirgizki i oni sami posiadają w swoim kraju pewne prawa. Szczęście to, które spadło na Kirgizów niespodziewanie, jest jednak zaprawione przyprawą sowiecką. Po kirgiskiu można mówić i pisać tylko to wszystko, co nie jest przeciwnie doktrynie komunistycznej. Kirgizi ocenili „dobrodziejstwo” różnie. Jedni przyglęli do nowych hasel od razu i całym sercem. Tych jest najwięcej. Nie brak jednak innych, przeciwnych nowym prawom i nowym obyczajom. Z początku walczyli zbrojnie, później uspokoił się, ale w sercach wciąż jeszcze noszą nienawiść do nowinek, a więc do zamykania meczetów, zakazujących kałymu, czyli kupowania żon i ośmieszających noszenie przez kobiety, jak nakazał prorok, czarnych czadr — zasłon.

Kwestia kobieca jest jedną z najważniejszych w problemacie związania Kirgizów z nowym ustrojem, to też rząd sowiecki poświęca jej bardzo dużo uwagi. Oczywiście, na dłuższą metę walka o utrzymanie kobiety w stanie na wpół niewolniczym, pod zasłoną, bez prawa do

3) miłości — jest sprawą przegraną, to też zwycięzcami w tej dziedzinie będą niewątpliwie komuniści.

Gdy koła pociągu zadudniły po moście nad rzeką Irtyszem pod Omskiem, zadumałem się. Oto miałem przed sobą rzekę, której źródła leżą w Chinach, a której wody, wraz z wodami rzeki Ob, wpadają do Morza Karskiego pod kręgiem polarnym... Ileż to tysięcy kilometrów! Ale Irtysz wcale nie jest z tego dumny. Płynie spokojnie i cicho, z godnością znosząc na swych wodach dziesiątki i setki statków, łodzi, barek i tratw. Do niedawna stanowił on jedyną drogę do Semipalatyńska i dalej, do granicy chińskiej. Teraz wyłączności tej nie ma, ale wciąż jeszcze jest bardzo ważną arterią komunikacyjną.

Kazachstan już za nami. Mknijemy teraz przez terytorium administracyjne, nazwane Krajem Zachodnio-sybirskim. Kraj w nomenklaturze nowej, to taka jednostka terytorialna, w której skład wchodzi autonomizowane republiki i obwody narodowościowe. Gdyby Zachodnia Syberia nie posiadała takich wysp i enklaw nazywałaby się wprost obłast’.

Pejzaż za oknami wagonu wciąż jednakowy. Olbrzymie równiny, pokryte bujną trawą, rzadko rozrzucone ubogie stacyjki i jeszcze radsze miasteczka. Niekiedy mijamy szeroką polską drogę, wiodącą gdzieś do krańca horyzontu a na niej człapiących wolno wierzchem jakichś tubylców-Sybiraków. Monotonie tych melancholijnych widoków urozmaica od czasu do czasu stado bydła, błyszczące w słońcu jezioro, lub leniwa, otoczona mokradłami i trzcinami, rzeka stepowa. Nad całym krajem unosi się jakaś rzewność i sielskość.

To już prawdziwy Sybir... (DCN)

Finlandczyków, którzy z nożem nigdy się nie rozstają. Pomijam inteligencję dużych miast.

Wolno ciągnęły się dni ładowania drzewa. Cztery windy ciągnęły na statek sosnowe sztenkle, składając je w czterech ładowniach, gdzie się rażno krzątali portowi robotnicy. Ładownie pełne. Zakrywamy luki, naciągamy brezenty i bierzemy sztenkle na pokład, które coraz wyżej rosną na pokładzie, aż wyrasta góra do poziomu mostku kapitańskiego. Przymocowujemy ładunek za pomocą żelaznych drutów i łańcuchów. Wszystko gotowe do drogi. Łamacz rozpiera masy lodu, za nim podążamy my, aż wolne od lodu wody Bałtyku zaczynają kołysać statkiem.

Ostra zmiana klimatu wywołała przeziębienie w całej załodze pokładowej. Katar rozpierał nosy, kaszel dusił krtań a temperatura rozsądzała żyły. Było niewymownie trudno rozbudzić zmianę warty. Tych samych ludzi, którzy za małym dotknięciem gotowi byli do objęcia warty, dziś trzeba było trząść kłaję i z trudem windować z łózek. Żeby klapały, oczy zachodziły mgłą, trzesło od gorączki, ale trzeba było stać, sterować i pilnować okrętu. Nie było mowy o pracy bieżącej, jak mycie statku, czyszczenie miedzi, naprawa brezentów, gdyż każdy ledwie włóczył nogami. Jedynym lekarstwem był rum. Po dziesięciodniowych nadludzkich wysiłkach stanęliśmy w Gand. Starszego oficera i stolarza odprawiono do szpitala, inni zaś, po kilkudziennej kuracji domowej, powrócili do zdrowia i, jak gdyby chcąc nadrobić utracone dni, pili na umór.

Wyladowano drzewo i zaczęto brać koks. Po zapelnieniu ładowni sypano koks na pokład. Przed tym na burtach unocowano belki, do których przybito siatkę, aby koks nie zsunął się za burtę. Niebezpieczny zimą to ładunek. Pory koksu napelniają się przelewającą falą, zmarznięta woda przeciąża i tak ciężko naladowany statek. Przeladowanie jest przyczyną katastrof.

Nie jednak nie mówilo o grożącym niebezpieczeństwie. Minęliśmy Trescheling, za półtora dnia mieliśmy wejść do Kattegatu. Morze stawało się coraz niespokojniejsze, coraz częściej przód statku zarywał się w falach, coraz więcej wody waliło na pokład. Wiatr dął coraz silniej. Fala z lewej burty przerzuca koks na prawą. Coraz częściej balwany przewalają się przez pokład. Już z lewej burty wyrwano jamy, a wiatr wzmaga się z każdą chwilą. Żeby przejść ze środka okrętu na bak, do mieszkania załogi, trzeba mieć oczy na baczność, a ręce w użytku. Za jednym natarciem fali można polecieć za burtę.

Cała siła uderzenia 6000 tonowa „Laimdota”, wynurzając się z jednej fali z łoskotem uderza w inną, zabierając na pokład masy wody. Śruba wylatująca w powietrze, wstrząsa okrętem, skupiając na sobie uwagę mechaników. Gdy statek leci w dół śrubie daje się cały rozped, gdy leci do góry należy zmniejszyć ilość obrotów, gdyż kilkudziesięcotonowa śruba może w powietrzu się zerwać, a wówczas okręt jest nieczem. Szesć tysięcy ton masy żelaznej staje się igraszką fal.

Fale już nie biją, lecz z piekielnym traskiem miażdżą okręt, zmywając koks z pokładu. Zbity koks na prawej burcie i fala z lewej stawiają okręt w krytyczne położenie. Naraz nieopisany trzask, huk, szum płynącej wody, okręt gdzieś leci, a razem z nim lecimy i my. Kapitan bez czapki z przerażonym wzrokiem wypadł z salonu, gdzie jadł kolację, na mostek. Co się stało?! Ciemność nie pozwala się zorientować. Zatrzymano maszyny. Skierowano statek dziebiem przeciw fali. Zapalono światła i... o Boże: z lewej łódź ratunkowa wyrwana z szlupbelki i rozsadzona o ścianę sterowego domku! Deski i drobiazgi na szalupowym pokładzie zmyła ogromna fala, która nie tylko na górze lecz i na dole uczyniła spustoszenia. Masa wody wyłamała drzwi do jadalnej kabiny oficerskiej, gdzie właśnie w tym czasie oficerowie jedli kolację. Zwalila ich do kupy, przycisnęła do ściany, a rozsadzniejszy ścianę zalała salon. W salonie pełno wody, a żona kapitana myśląc, że już toniemy dostaje hysterii. Z trudem ulokowano ją na mostku kapitańskim, gdzie było sucho i ciepło.

„Załogę na pokład! — zagrzmiał stary — obejrzeć czy luki nie odbite.” Tylko jeden luk był zerwany, który szybko zamknęliśmy. Łódź przywiązaaliśmy, aby nową falą nie zmwo jej zupełnie.

Jeszcze trzy dni rozhulany Neptun nluł nam w twarz, aż wreszcie zabłysło światło Skagenu, przykładu Danii, za którym był Kattegat. Na Bałtyku było mglisto ale cicho. Niedługo na widnokregu zarysowały się szchery Sztokholmu. Cztery godziny jazdy przez boskie piękno szcherów i Sztokholm. Ze Sztokholmu wróciliśmy do Rygi, gdzie „Laimdota” stanęła na sznurek, a przez to my straciłszy posady. Jednym niepowodzeniem było więcej.

rejs

przeżytych chwil. Jeden widzi tą, za którą tęskni, innemu tańczą butelki wypitego piwa, a inny znów wprost rozkoszuje się wyobraźnią ciepłego łóżka, aż głos sternika: „Baczność na kurs, nie spać!” wyrzywa z marzeń i znów igła kompasu kładzie się na linię kursu.

Neptun był pogodny, a morze spokojne. Można więc było pogawędzić dłużej za obiadem świątecznym, zraszanym obficie akwawitem. W ostatnim dniu starego roku rzuciliśmy kotwicę w Koivisto. Starzy i młodzi rzucili się na ląd, aby w ludzkim otoczeniu spędzić resztę starego i spotkać nowy rok.

Wiadomo, że gdy się zbierze kupa marynarzy, zapewniony jest pogrom serc niewieśkich. Gdzie tkwi przyczyna powodzenia? Czy złotem polyskujące mundury oficerów, czy też wiejący od marynarzy romantyzm krajów nieznanych, lub też odmienne postępowanie jest tego przyczyną?

Gdy wyszliśmy na ląd, niejeden ze szczerów lądowych został bez damy serca. Nasi ujęli. Nie dano jednak nam za wygraną, gdyż jednego Szweda popruto nożami, aż został w szpitalu, a z naszej załogi dwóch zmiatało, aż skry leciały z pod podszew. W następne dni postoju załogi okrętów szły razem na brzeg i wracały razem, gdyż ciemne ulice miasteczka, nieobecność policji, nie gwarantowały całego wyjścia od mściwych i zazdrosnych

Na tropie harcerskim



Obrazek z wieczornicy 36-ej i 86-ej drużyny harcerskiej w Rydze. Poprostu... zmywanie naczyń. Ale na wesoło...

Z ŁSCO

DNIA 31 PAŹDZIERNIKA R. B. ODBYŁO SIĘ W ŁSCO doroczne walne zebranie pełnomocników, wybranych na podstawie nowego statutu.

Wybory do Głównego Zarządu (C. P.) według nowych statutów dały następujące wyniki: gen. K. Goppers — przewodniczący, T. Bałpurwiński — nacz. skautów, F. Lendiński — komisarz spraw zagranicznych, A. Łuks — członek, Krauze — skarbnik.

DN. 11 LISTOPADA ODBYŁA SIĘ ZBIÓRKA 35 DRUŻYNY HARCERSKIEJ poświęcona historycznej dacie, zapisanej w dziejach Łotwy i Polski.

Licznie zebrani harcerze ulokowali się najwygodniej po harcersku dokoła zaimprovizowanego z polan, chróstu i żarówki elektrycznej — ogniska. Drużynowy druż. Wł. Ichnatowicz przeprowadził okolicznościową i na tematy bieżące pogadankę. Z kolei dhowie W. Buzo i H. Miż-Miszyn wygłosili referat na temat: „Dzień 11 listopada w historii narodu łotewskiego i polskiego”, wyjaśniając treściwie, dlaczego ten dzień jest świętem, zarówno dla narodu łotewskiego, jak i polskiego.

Deklamacje, urywki z literatury pięknej oraz dziarskie pieśni harcerskie wytworzyły doskonałą, szczerą atmosferę tak, że miało się złudzenie prawdziwego ogniska wśród lasu na polanie pod firmamentem gwiazdzistego nieba. Doskonale deklamował wiersz Józefa Mączki mały druż. Raudoft, zyskując z tej racji głośną raketę harcerską w dowód uznania.

Drużyna w najbliższym czasie przystąpi do przygotowań do 15-letniej rocznicy istnienia i nieprzerwanej pracy. (es)

97-ma RYSKA DRUŻYNA HARCERSKA PROSI O GŁOS. Drugi rok już wychodzi tygodnik „Nasze Życie”, za pośrednictwem którego drużyny harcerskie mogą podtrzymywać kontakt, wymieniać swe myśli, dzielić się swymi troskami i radościami. Tą areną jest „Kolumna harcerska”, za co Redakcji musimy być wdzięczni. Cały szereg drużyn już zabierało głos, pisało o sobie nawet po kilka razy. Nie bierzemy tego zupełnie za złe, ani też nie zazdrościmy, ale przychodzimy im z pomocą i zatykamy „lukę” w kolumnie harcerskiej, a zadowoleni jesteśmy, że 97 nie jest ostatnia, bo jest jeszcze sporo drużyn harcerskich, które nie dają żadnego znaku życia. Nie bądźcie „skromniuszka”, wylądźcie na powierzchnię areny, róbcie hałas, bo i 97-ma przestaje być „skromniuszkiem”.

Otóż w dniu obchodu X rocznicy istnienia drużyny chcemy trochę się pochwalić, bo jak sami tego nie uczynimy, to inni nawet małym paluszkiem nie zechcą poruszyć.

Więc zdoładźcie się trochę na cierpliwość i posłuchajcie samochwałów.

— Dzieje 97 dr. harc. należy rozpocząć 14 lutego 1936 r. W tym dniu odbyła się pierwsza zbiórka, w lokalu ryskiej miejskiej 5 polskiej szkoły podstawowej przy ul. Katolu 23, na Latgalskim (dawniej Moskiewskim) Przedmieściu. Pierwszymi kierownikami byli: drużynowy druż. Kozłowski Mieczysław i jego zastępca ś. p. Bielawski Edward (zmarł w 1936 r.). Obydwaj pochodzili z 36 dr. harc.

Rozpoczęła się intensywna praca w nowotworzącej się drużynie. W przeciągu krótkiego czasu

formowano pierwsze trzy zastępy ochotników na przyszłych harcerzy. Szkoła polska stanowiła główny ośrodek pracy i była tym źródłem w dostarczaniu ochotników na harcerzy. Wieloletnia kierowniczka szkoły, zasłużona nauczycielka i działaczka społeczna wśród Polonii ryskiej p. Rukujzo Michalina sprzyjała pomyślnemu rozwojowi drużyny harcerskiej. Za co — serdecznie Bóg zapłać!

Z każdym dniem tempo pracy się zwiększało: ćwiczenia, wykłady, wycieczki, gry. 4 czerwca 1936 r. drużyna zostaje zatwierdzona w ŁSCO pod liczbą 97.

Latem 1936 r. poraz pierwszy drużyna wyjeżdża do obozu 36 i 86 dr. harc. w Smardenie.

W obozie 10 młodzików złożyło pierwsze przyrzeczenie harc. na ręce druha Szeligo - Soczyńskiego, ówczesnego drużynowego 36 drużyny.

Rok następny upływa również w pomyślnej pracy.

Liczebnie drużyna stała mocno.

Dopiero rok 1928 był dla drużyny rokiem „Pechu”.

Na wiosnę drużynowy został powołany do wojska, jego zastępca musiał wyjechać, tak, że cała praca spadła odrazu na zastępowych, którzy zawiedli.

Drugi pech to pożar szkoły, który pozbawił drużynę izby i miejsca zbiórki na dłuższy okres czasu. Drużyna zaczęła się rozsypywać.

Następne lata — 1929, 1930 — nie były również fortunne. W r. 1930 wraca z wojska drużynowy i zaczyna pracę na nowo. Drużyna uzyskuje na nowo pozwolenie na zbiórki w odbudowanej szkole. Przybywa nowy pomocnik drużynowego w osobie druha J. Łukaszczyka. Po niefortunnym latach praca posuwa się powoli naprzód. W r. 1932 z powodu różnych okoliczności zachodzą wielkie zmiany w drużynie. Od 2 X kierownictwo drużyny przejmuje druż. Krasowski J. — przyboczny 33 dr. harc. Powstaje na nowo gromada wileżków.

W r. 1933 drużyna po raz pierwszy bierze udział w programie wiosekrowki szkolnego, dając kilka numerów. Na wiosnę otrzymuje podczas defilady harcerskiej sztandar. Lato upływa na wycieczkach. Największą wycieczkę odbył st. harc. Dukalski Jan — rowerem do Polski. Z Rygi wyruszył 3 VI, wrócił 30 VII, przebywając około 4.300 km.

W r. 1934 uśmiecha się znowu fortuna. Zakres pracy się zwiększa. Wstępuje do drużyny druż. Boguszanka L. i obejmuje kierownictwo gromady zuchowej.

Zdobywamy inwentarz obozowy — namiot. Na zlot narodowy w Asari drużyna wysłała 20 harcerzy i 8 zuchów. W jesieni werbunek trwa nadal. Wstępuje do drużyny na członka aktywnego nauczycielka 5 polskiej szkoły p. Czepajtisówna, która rozpoczyna swą pracę w gromadzie zuchowej.

W r. 1935 drużyna organizuje duży wieczór harcerski w Domu Polskim. Skutkiem — drugi duży namiot. Latem 10 osób z drużyny wyrusza na zlot narodowy do Spały. W jesieni drużyny Czepajtisówna i Boguszanka L. składają przyrzeczenia instruktorskie. Tego roku z drużyny odchodzą prawie wszyscy st.-harc. do nowopowstałej morskiej

drużyny harc. na czele której stanął druż. Łukaszczyk J.

W r. 1936 głównym dorobkiem jest rozpoczęcie prac introligatorskich, o których tak dawno mierzono. Pierwsze roboty były wykonane dla szkoły: naprawianie starych map, naklejanie obrazów na tekturę; odbywa się przeszkolenie chłopców w oprawianiu książek, które, prawda, posuwa się jeszcze b. powoli.

Zorganizowano Komitet Rodzicielski (dn. 25 IV), do którego weszli p. M. Ingelewiczowa — prezeska, p. W. Dudkiewiczowa, p. Drużyłowska, p. M. Sielicki, p. Barzowski, Al, p. Michaszewicz H.

Obecny stan drużyny przedstawia się następująco: zuchów — 20, harcerzy — 30, st.-harc. — 3, podinstr. — 2, instr. — 3, razem 57.

W takim stanie stajemy dzisiaj w rocznicę X-lecia drużyny.

W NIEDZIELĘ DN. 15 LISTOPADA URO-CZYSTE NABOŻEŃSTWO w kościele Matki Bożej Bolesnej o godz. 8.00. Akt zaś o godz. 20 w lokalu 5 polskiej podstawowej (Katolu 23).

Apelujemy do byłych członków 97 dr. harc., by nie zrywali całkowicie nici wspólnej pracy i przyjaźni zadziergniętej kiedyś przy wspólnym ognisku.

Przyjdźcie na uroczystą zbiórkę!
Czuwaj!
(Drużynowy)

PAMIĘTAJCIE, ŻE

68 HARCERSKA ŻEŃSKA DRUŻYNA urzęduje 14 listopada 1936 r. o godz. 20 w **POLSKIM DOMU**

(przy ul. Jezusbasznicas 3)

doroczny wieczór programowy
TANCE. BUFET. LOTERIA.
Bilety w cenie od Łs. 0,50 do Łs. 2.—.

Kacik zuchowcy **Trzeba**

Zbiórki zuchowe winny być ujęte odpowiednio do pór roku i zgodnie z zainteresowaniami dzieci. Nie można ignorować „współczesności”. Poza tym trzeba, bawiąc się, rozstrzygać „bieżące zagadnienia”.

Trzeba „żyć”!
Należy przeto, porą jesienną, poświęcić pracę zuchową zjawiskom jesieni. Pokazać wszystkie zjawiska i umiejętnie je wykorzystać. Obudzić zainteresowania przyrodą, zwrócić uwagę na życie zwierząt i ptaków i wywołać w dzieciach sympatię do nich.

Na wycieczkach w polu, na łące, czy w lesie, pobudzić zuchów do **samodzielnych** ciekawych obserwacji, zamieniawszy ich w „bożęta”. A nad wszystko związać dzieci uczuciowo z ptakami.

Obudzić równocześnie uczucia altruistyczne przez umiejętne skierowanie uwagi ku pomaganiu innym własnym wysiłkiem. Pracę skierować do

97-ma drużyna nie tylko ma... głos, jak to o sobie sama wyżej pisze, ale i morowych harcerzy, jak to naocznie przekonać się możemy z powyższej fotografii



AWANGARDA KOLUMNĄ MŁODYCH

Witold Massan

Dwie rocznice

Smutek i melancholia jesiennych dni rozplynęły się w powietrzu — niczem żelatyna — obejmując wszystkie przedmioty gęstą, lepka masą.

Biały szron jesiennego przymrozku osiada co rana na czarnych bruzdach ornej ziemi. A w miastach, na ludnych ulicach samotnie stojące awangardy drzew, przeświecają nagością gołych gałęzi.

Jesień śmiało i skutecznie atakuje barykady zaciekle broniącego się lata.

Ale pomimo tragedii przyrody, borykającej się z prawami nią rządzącymi — ludzkie nastroje nie licują z powagą chwili i smutkiem, który ogarnął otoczenie.

Listopad — w życiu dwu sąsiadujących z sobą narodów posiada ogromne, epokowe, historyczne znaczenie.

Dwie rocznice, dwa święta Narodów, żyjących z sobą w najlepszej przyjaźni — wywołują w pamięci minione lata i wspólne zmagania się z wrogiem, który potęgą przeważających sił chciał zgnieść i zniszczyć wolność, o którą walczyły.

Stało się jednak inaczej:

widna obcej — przemocy — bohaterstwo odparte poza granice państw — znikło, ustępując miejsca rządóm wodzów, którzy, pochodząc z danego narodu, ciałem i duszą służą sprawie Państwa.

11 i 18 listopada — to dwa święta Niepodległości Państw, które już liczą 18 lat samodzielnego istnienia.

I tu i tam doświadczenia długich lat niewoli, bezprzykładne dowody bohaterstwa i ciągła, a nigdy nie ginąca myśl o wolności.

Młode pokolenie Polaków, żyjących na terenie Łotwy, słabo pamięta wydarzenia z okresu Wojny Światowej.

O ich uszy obijały się jedynie niewyraźne oddźwięki wydarzeń, w postaci opowiadań rodziców, którzy byli naocznymi świadkami zawieruchy, jaka szalała w Europie od 1914 do 1920 r. Jednak młode serca, tętniące gorącym pragnieniem czynu, prędko się wczuwały w tragizm tytanicznych walk.

Postacie młodocianych żołnierzyków, nieznane, obce, szczupłe, dzierzące w dro-

nych, dzieciinną nieśmiałością przepojonych rękach, ciężkie karabiny — zdają się być wizerunkami najukochańszych istot.

Orlątko Lwowa, synowie bohaterskiego miasta, piersią własną osłoniły niegdyś nie tylko Polskę, ale także i inne kraje przed nawałnicą czerwonej tuszczy. Jakż ogromna podobizna wypadków zachodzi pomiędzy walkami Polski i Łotwy o Niepodległość! Dzieci z ławy szkolnej, w imię idei, płonącej niczem wieczny znicz, nieśli w ofierze swoje życie!

I ani chwili namysłu ani odrobiny lęku nie było w ich postanowieniach. Pod sztandarami, dumnie łopoczącymi nad ich głowami, mężnie marli, jak prawdziwy żołnierz, zaprawiony w ciągłej walce do nieustraszonego spoglądania śmierci w oczy.

Tak na peryferiach Łwowa, jak i wśród bagien Turelskich jednakowa śmierć nieubłagane kosiła szeregi młodych zapalczyków.

(Dokończenie na str. 16)

żyć

budowy karmników i domków ptaszęcych, ogacania liśćmi kurników i budek „psipsiów”. Oddziaływać należy wciąż w kierunku wykazania, że praca i uczynność są źródłem radości.

Należy wdroić do dobrych uczynków i związać pomoc ze sprzętem plodów roślinnych, porządkowaniem grobów, trawników i sadów z opadłych gałązek i liści. Zgrabione gałązki i liście (jeśli można) spalić. Z tym połączyć taniec jesienny, skakanie przez ogień i pieczenie ziemniaków.

Wykorzystać też należy jesień do wojen zuchowych, albowiem dużo jest wówczas pocisków z kasztanów, żołądzi, czy szyszek. Nadmiar ich zbierać do „skarbcza zuchowego” na zabawki choinkowe i na kukielki do teatrzyku. Zbierać należy też liście i „tkać” z nich „czarodziejskie” kobierce.

A nadewszystko, udogodnić należy zuchów na przeciwności nie pogody!

Wieśniacy, kopcząc ziemniaki na zimę, okrywają je słomą lub gałęziami, a potem obsypują ziemią tak, aby wierzchołek kopca był otwarty (żeby ziemniaki obeschły). Przeto u czubka kopca, z pod ziemi, wygląda ze słomy czy chróstu — straszak, zwany „kalonką”. Sprawia on na zuchach niesamowite wrażenie. Koło takiego więc kopczyka można rozpocząć, czy kończyć zbiórkę zuchową i wokół urządzić korowody.

Jesień jest też okresem miedlenia i czesania lnu i konopi. Można więc i te cuda pokazać zuchom i wykorzystać do pracy.

Można też zrobić zbiórkę jesienną przy stercie siana, czy w stodole na sianie i urządzić skika-

nia i fikania.

Zanim mrozy chwycą, można narobić szalaszów, a potem, gdy śnieg spadnie, umocnić je śniegiem. Będzie więc gromada miała ładne i mocne dmki do zbiórek zimowych...

W dnię słotne, podczas zbiórek w sali, zuchy niech urządzają teatr samorodny, odtwarzając: zbieranie grzybów, grajków — świerszczyków, panny debianki raniące żołądź, młockę żyta, zbiórkę i odlot „boćków”. Mogą urządzić też koncert klekotu, czy ćwierkania (zwilżonym korkiem po szybie), a także bębnienie deszczu. Rakiety niech zaś robią „młockową”: „cupu-lupu! lupu-cupu!”, czy też ptaszęca ze ćwierkaniem.

MIŁOŚĆ PRZYRODY

— Czyście dobrze! — powitałem małe Bożęta.

— Czynimy! — odpowiedziały zgodnie, podskakując wesoło.

— Bożęta! — zwróciłem się do nich poważnie, prawicą wskazując świergozcące na dachu wróbelki —

— Bożęta!

Czy każde z was pamięta, że w zimie głodne są ptaszęta?...

— A jakże! O tak! Pamiętamy!... Jurek już domek robi... — i zaczęły opowiadać na przemian, które ptaszęta odfruwają, a które pozostają i czem się je żywią. Dlaczego trzeba pomagać ptaszkom i jak... Jerzyk zaś, przekrzykując wszystkich, począł opowiadać bajkę „O ptaszkach w niebie”. Słuchano go. A gdy mówił o choince w niebie, któryś rzucił myśl:

— A może i my ptaszkom choinkę zrobimy?... Zaczęły się „spory”. A gdzie?... A jak?...

— A czy wiecie, że i mięso lubią ptaszęta? — wtrąciła niespodziewanie Hania.

— Tak! Łój! — odpowiedziałem, widząc kilka

wykwitłych uśmiezków.

— To będziemy łój zbierać...

— I roztopionym lojem polejemy gałązki jodełki, będą to sople lodowe — dokończyłem.

Klaskanie w rączki i krzyki „Dobrze!”, „Jak to ładnie będzie!”, stwierdziły, że myśl ta się dzieciom podoba.

— Z jarzębiny i berberysu zrobimy ładny lańcuch — ciągnąłem dalej.

Potem zaczęły sypać się projekty. Każdy chciał coś podać.

— W roztopionym loju umoczymy druciki i posypiemy makiem — będą to „zimne ognie”...

— Z loju i chleba ugnieciemy ładne ciastka serduszka, gwiazdki, obwarzanecki, rogalczki... Obsypimy je makiem, prosem, czy lnianem nasieniem, czy też ubierzemy w precudne wzory ziarnkami słonecznika, gryczanej kaszy, czy też ziarnkami dyni...

— Zrobimy gwiazdę — z dużego słonecznika...

— Narobimy różnych koszyczków z pudełek od zapalek i wysypimy: w jedne prosa, w drugie nasionek konopi, w trzecie maku, w inne — trochę ziarenek słonecznika, trochę z dyni...

— A na wierzch posypiemy okruszynkami ciasta.

— Nie można ziarenek mieszać z okruszynkami — wyjaśniłem, kwaśniejac, psuja ziarnka.

— A nasionkami ostu obsypimy choinkę jak śniegiem...

— Będzie cudowna! Będzie cudowna!... Oto będą miały radość ptaszęta! — cieszyły się zuchy.

— I będą ćwierkały i dziękowały Bożętom! — powiedziałem przekonująco.

Postanowili zuchy zaraz szukać i zbierać nasiona. Ale w co?

Wyciągnąłem papier i rozpoczęło się majsterkowanie torebek, wycinanie ptaszków i naklejanie na torebki. Takiegoż ptaszka każdy przypiął sobie i na berecik.

Przy pracy nucilem, a za mną zuchy:

— „Ptaszęca kapela

Ludzi rozwesela,

Za to też Bożęta

Kochają ptaszęta.

Prosa i konopi,

Dyni, słoneczniku,

Maku i rzepaku —

Zniosą im bez lęku!”

(Dokończenie na str. 16)

Teatr Polski w Łotwie

W dniu 15 listopada 1936 r. o godz. 2 po poł. we własnym lokalu (Jezubaznias iela Nr. 3) przedstawienie TEATRU KUKIELKOWEGO.

Baśń M. Kownackiej „O Kasi, która gąski pogubiła”

Bilety w cenie 20 sant i Łs 1.—

Witold Massan

Dwie rocznice

(Dokończenie)

Nie napróżno jednak umarli! Krwią oroszona ziemia odzyskała wolność i powstała z mroków wieloletniej niewoli do nowego, twórczego życia i rozwoju.

Rokrocznie uroczyste odchodzimy te daty tryumfu.

Radośnie i dumnie oglądamy się za siebie.

Zginęły ruiny domów, które jak nagie kościotrupy wyciągały w górę szczątki dawnych marów, i zdawały się niemi grozić widmem wojny.

Wszędzie widoczne są ślady skrzętnej i mądrej gospodarki. Życie nie lubi stać na miejscu.

Pęd ku rozwojowi i doskonaleniu się zawsze cechował naszą egzystencję.

Prawa wszechświata nie lubią działań destrukcyjnych:

to co w jednym miejscu zginęło, powstanie nanowo w drugim — tylko w nieco zmienionej formie. Dawne ruiny, dzieło

Kącik zuchowy

Miłość przyrody

(Dokończenie)

Gdy jedne Bożęta kończyły szybko majsterkowanie, drugie w takt śpiewu nuconego na skoczną melodję krakowiaka zaczęły taniec. Było zimno, więc tańczono chętnie. Wkrótce wszystkie były już w kole.

Gdy tańczyły może już po raz dziesiąty, wskazując na słonko, rzuciłem rozkaz:

— „Coraz niżej kula słonka, Hejże! Dalej, po nasionka!“ —

Rozpierzchły się po „ogrodzie. Ja zaś napisawszy na swoim ptaszku:

„Kamcze biewiz“*)

posadziłem go na drzewie, pod którym odbywały się: obrada, śpiewy i majsterkowanie.

Po upływie pół godziny zaczęły pojedynczo i grupkami ściągać obładowane Bożęta. Niektóre niosły tryumfalnie całe kule rzepia i duże łodygi chwastów...

Rozpoczęło się uroczyste układanie nasion w skarbcu, spisywanie nazw i podpisywanie ptaszków, by pilnowały plonów wyprawy. Okazało się, że Jurek przyniósł nasion najwięcej.

— Rakiętu zrobimy Jurkowi! On zwycięzca! — odezwały się głosy.

— Rakiętu — ale ptaszczak! Czyńcie więc to co ja — i przykucnąłem nisko.

Jurek znalazł się w środku. Wokół niego przycupnięte Bożęta.

— Jesteśmy teraz ptaszkami i dziubiemy nasionka przyniesione przez Jurka. Zachąłem stukać zgitym wskazującym palcem ręki prawej o podłogę, a za mną zuchy, wołając: Dziub, dziub, dziub, dziub...

— A teraz ptaszki najadłszy się odfruwają: Fru, fru, fru, fru, fru... — i poderwałem się wymachując rękami, jak to czynią w locie skrzydłkami ptaki...

— I dziękują Bożętom za ich złote serduszka: pi, pi, pi, pi, pi... — podskakując jaknajwyżej i podnosząc ręce piszczałem radośnie.

— Jeszcze raz! Jeszcze raz! — krzyczały Bożęta za każdym razem...

Ale trzeba było skończyć. Umówiliśmy się tak: ja zapiszę jak ptaszek, Bożęta rozbiegą się, ale już do domów, by znów przez cały tydzień zbierać i gromadzić nasiona, robić karmniki i domki i przygotowywać wszystko do choinki.

— Pi, pi, pi, pi, pi...

* Czekam w izbie — napisane zwyczajem zuchowym odwrotnie.

dycja pełna męskiej sławy i bohaterstwa wnosi uspokojenie.

Czas, w miarowych odstępach, wydzwaniając mijające lata, obojętnie przemija obok najdonioślejszych wydarzeń.

Poza nami — osiemnaście lat samodzielności państwowej.

A przed nami długa droga, prowadząca, pomimo wszelkich przewidywań, do celu uświęconego hasłem Ligi Narodów, która nie napróżno twierdzi, że tylko zgoda i wzajemne porozumienie państw usunie niebezpieczeństwo ponownego szaleń.

Oby sztandary dwu narodów zgodnie się wzniosły na maszty sąsiadujące z sobą.

Są one symbolem naszego pochodzenia i przynależności.

Myśli... myśli...

Prawą ręką daje się kurom ziarno, a lewą zbiera się im jaja.

* * *

Przy wyborze żony patrz oczami starca, przy wyborze zaś konia, oczami młodego człowieka.

* * *

Znajomość prawa nie może zastąpić poczucia prawa.

* * *

Powinno się zawsze wiedzieć, co się mówi, ale nie zawsze mówić, co się wie.

* * *

Oszukać oszusta nie jest piękną rzeczą, a mimo to sprawia ona radość.

* * *

Nie rzucaj się nikomu na szyję, dziewczętom także nie.

Najszybciej zjawiskiem w dzisiejszych czasach jest to, że nikt nie ma czasu.

* * *

Ludzie, którzy przed wszystkimi ukrywają swe nieszczęścia, nie ukrywają swego szczęścia przed nikim.

* * *

Początkujący potrafi wszystko, tylko nie zaprzestania.

* * *

Zwierzęta, to nieme istoty, które nie potrafią się śmiać ani płakać, a przecież posiadają często wielkie serca.

* * *

Prawdziwy pesymista nie dowierza nawet sobie samemu.

Teatr Polski w Łotwie

powiadamia Polonię ryską, że 18-go listopada 1936 r. o godz. 20 w lokalu Teatru Polskiego (przy ul. Jezusbażnicas 5) odbędzie się

AKADEMIA

w związku ze świętem państwowym Łotwy.

W programie: PRZEDSTAWIENIE TEATRU POLSKIEGO

Wejście bezpłatne.

Teatr Polski w Łotwie

W dniu 22-go listopada b. r. o godz. 2 po pol.

w JEŁGAWIE (w lokalu „Zemgales Klubs“, ul. Pasta 34)

Odbędzie się przedstawienie TEATRU KUKIEŁKOWEGO

Odegrana będzie baśń M. Kownackiej

„O Kasi, która gąski pogubiła“

Bilety w cenie 20 sant. i Łs. 1.— są do nabycia w Jełgawie przy ul. Liela Nr. 16, m. 2 od godz. 4 do 8 wiecz. codziennie, a w dzień przedstawienia — w Kasie Teatru.

Polskie RZ.-Kat. T-wo Dobroczyńności w Rydze,

w niedzielę dn. 30 stycznia 1937 r.

urządza tradycyjny

„POLSKI WIECZOR“

z programem i tańcami.

Uprasza się o składanie ofiar na loterię.

Kronika życia bieżącego

Ryga

OBCHÓD 18 ROCZNICY NIEPODLEGŁOŚCI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ został zorganizowany w Rydze przez Polskie T-wo „Oświata” w Domu Polskim, którego obszerna sala o godz. 19-ej wypełniła się po brzegi.

Uroczystość zaszczylił swą obecnością Poseł Nadzwyczajny R. P. w Rydze minister **Fr. Charwat** z Małżonką oraz Konsul **Stefan Ryniewicz** i attaché wojskowy mjr. **F. Brzeskiński** z Małżonkami.

Obchód zajął członek zarządu T-wo „Oświata” p. **Napoleon Liberys**, poczem chór Maturzystów wykonał hymn państwowy lotewski i polski. Z kolei przemówienie okolicznościowe wygłosił p. **M. Miż-Miszyn**, deklamowała p. **Irena Gajdzilewska**, poczem chór pod batutą p. **Karola Izarta** odśpiewał kilka piosenek, kończąc tę naprawdę pyszną i doskonale wykonaną wiazankę „Pierwszą Brygadą”. Na zakończenie wystąpiła znana pianistka p. **Molly Reiznekówna**.

Wieczór przedstawiciele Polonii miejscowej spędzili w nadzwyczaj serdecznej atmosferze u państwa Ministrowa Charwatów, podejmowani z łańcuchem staropolską gościnnością. Dużo przyjemności sprawił obecny wśród gości słynny Chór Juranda, który zaiste po mistrzowsku nie szczędząc sił, wykonał cały szereg swych wspaniałych zespołowych i solowych pieśni.

* * *

JAK SIĘ DOWIADUJEMY, CHÓR MATURYSTÓW POLSKIEGO TOWARZYSTWA OŚWIATY miał zamiar urządzić koncert w dniu 22-go listopada r. b., ale wobec tego, iż w tym miesiącu jest już kilka większych i mniejszych imprez polskich, Chór odłożył swój koncert na dzień 3-go stycznia 1937 r., czyli na dzień pierwszej rocznicy powstania Chóru Maturzystów Polskiego Towarzystwa Oświaty.

Daugawpils

UROCZYSTE NABOŻENSTWO Z OKAZJI ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI R. P. odbyło się dn. 11 b. m. w kościele św. Piotra i Pawła o godz. 9 rano. Nabożństwo celebrował i okolicznościowo kazanie po lotewsku i po polsku wygłosił ksiądz proboszcz **Zundo**.

Na nabożeństwie byli obecni Konsul R. P. **Buynowski** z Małżonką, generał **Bach**, prefekt Daugawpilsu **Jansberg**, burmistrz Daugawpilsu **Wołont** oraz licznie zebrani przedstawiciele społeczeństwa polskiego. (es)

RAUT W KONSULACIE R. P. Z powodu święta Niepodległości Polski Konsul R. P. w Daugawpilsie z Małżonką wydał raut dla przedstawicieli armii, administracji państwowej, duchowieństwa oraz społeczeństwa lotewskiego i polskiego.

Wśród licznie zebranych gości m. in. był obecny dowódca dywizji Zemgalskiej generał **Bach**, prefekt Daugawpilsu **Jansberg**, naczelnik powiatu **Silau**, burmistrz Daugawpilsu **Wołont**, członkowie Zarządu miejskiego, przedstawiciele Izby Rolniczej i t. d.

Amatorski zespół miejscowej młodzieży wykonał szereg tańców ludowych w barwnych oryginalnych strojach ludowych, zyskując huczne brawa.

W imieniu społeczeństwa, armii i miasta gratulacyjne przemówienie wygłosił generał **Bach**, podkreślając głęboką przyjaźń, łączącą naród polski z lotewskim i Lotwę z Polską oraz podnosząc sławę oręża polskiego oddawanego nieraz na usługi zaprzyjaźnionych narodów. Następnie generał **Bach** wznosił toast za pomyślność Rzeczypospolitej Polskiej oraz marszałka **Śmigłego - Rydza**, który szczególnie jest bliski armii lotewskiej przez swój osobisty udział i dowództwo w pamiętnych walkach o oswoobodzenie Łatgalii.

Z kolei Konsul **Buynowski** w swym przemówieniu podkreślił znaczenie daty 11 listopada, przyjaźni jaka łączy i powinna łączyć oba narody i wznosił toast na cześć Lotwy, Prezydenta Państwa **Karola Ulmanisa** i dowódcy armii generała **Balodisa**.

W atmosferze wielkiej szczeroci i porozumienia wzniesiono szereg toastów m. in. na cześć dostojnych gospodarzy — p. Konsula **Buynowskiego** z Małżonką. (es)

WIECZÓR TAŃCÓW LUDOWYCH. Dnia 7 b. m. w „Harfie” odbył się wieczór tańców ludowych. Na program wieczoru złożyła się wiazanka tańców śląskich, kaszubskich i krakowskich.

Kilka z tych tańców w Daugawpilsie pokazano poraz pierwszy, jak „Szewczyk”, „Kokoszek”, „Zajączek”, „Gołąbek”, „Gęsiar” i „Palka kaszubska”.

8 wdzięcznych par, rekrutujących się z szeregów młodzieży harcerskiej, włożyło w wykonanie tańców wiele zapału, temperamentu i szarmu. Zwłaszcza dziewczęta były bez zarzutu i uśmiechnięte, hoże, zalotne, jak wyidealizowane córki ludu. Dobrze znane barwne stroje ludowe nie zostały zareprezentowane w czystej formie, bowiem panny nad barwne kiecki wolały wzorzyste perkaliki, prezentujące się wcale dobrze. Chłopcy, jakże mniej podatni na nowinkarstwa mody, zachowali strój w czystszej formie.

Prózę wiazanki tańców zainscenizowano szeregiem piosenek ludowych, w tym kilka nowych dla naszego widza.

Całość wypadła wcale dobrze. Szkoda tylko, że publiczność nie dopisała, co przypuszczalnie jest winą braku należytej reklamy.

Takie połączenie zabawy tanecznej z programem poniekąd charakteru rewiewowego (pomimo oparcia o motywy ludowe) należy powitać z uznaniem. (es)

DZIESIĘCIOLECIE T-WA KREDYTOWEGO W DAUGAWPILSIE. Statut Daugawpilskiego T-wo Kredytowego został zatwierdzony przez Łatgalski Sąd Ołregowy w 1926 r. dnia 16 listopada.

Pierwsze walne zebranie odbyło się 5 grudnia tegoż roku.

Skład pierwszej Rady przedstawiał się jak następuje; prezes — **Konstanty Zeberg**, skarbnik — **Wacław Olechnowicz** i sekr. — **Józef Jasionowicz**.

Skład pierwszej Rady: prezes — **Waleria Plawka**, członkowie: **Leonard Czechowicz**, **Wiktor Gołubecki**, **Ludmila Jakubowicz** i **Antoni Burbo**.

Skład pierwszej Komisji Rewizyjnej: prezes — **Władysław Łapiński**, członkowie: **Wacław Parnowski** i **Włodzimierz Bohomolec**.

Bilans w latach:	
1926 r. —	549.40
1927 r. —	2.331.26
1928 r. —	1.879.84
1929 r. —	1.251.24
1930 r. —	2.245.52
1931 r. —	8.346.80
1932 r. —	6.203.17
1933 r. —	9.277.66
1934 r. —	10.285.86
1935 r. —	34.525.59

Na 1 listopada 1936 r. bilans stanowi kwotę **Łs 39.832,25**.

Obecny skład Rady — wchodzi: Prezes — **Jerzy Bryć**, wiceprezes — **Bolesław Baużyk**, członkowie: **Wiktor Gołubecki**, **Stanisław Misiuro**, **Nicefor Wierzbicki**. Skład Zarządu: prezes — **Edmund Butnicki**, wiceprezes — **Wacław Olechnowicz**, sekretarz — **Walerian Tarnowski**, skarbnik — **Antoni Małachowski**, księgowy — **Kazimierz Zeberg**.

Skład Komisji Rewizyjnej: prezes — **Ignacy Zajkowski** - sekr. — **Klemens Samowicz**, członek — **Józef Markiewicz**.

Liczba członków stale wzrasta.

ORCHÓD ŚWIĘTA PAŃSTWOWEGO. We środe, 18 listopada, w górnej sali Domu Polskiego odbędzie się obchód poświęcony rocznicy święta państwowego.

Na program złoży się śpiew chóralny w wykonaniu chóru Stow. „Harfa”, przemówienia p. p. **J. Bryca** i **W. Ichnatowicza** oraz deklamacje.

Rodacy, stawcie się jaś najliczniej!

LISTOPADÓWKA. Tradycja lat ubiegłych w Domu Polskim dn. 29 b. m. odbędzie się obchód powstania listopadowego. Na treść obchodu złoży się referat, koncert orkiestry strunnej ZPM oraz recytacja zespołowa i deklamacja utworów **Słońskiego**, **Lechonia**, **Tuwima**, **Rzymowskiego** i **Dużińskiego**.

Z żałobnej karty

Ś. P. DR. W. SAWICZ. Niejednego dotknie boleśnie wiadomość o śmierci **Wiktora Sawicza**. Zmarł przed kilku dniami w Wilnie. Wśród młodego pokolenia naszej inteligencji była to postać b. popularna, zwłaszcza w Daugawpilsie. Z tym miastem najściślej było związane jego krótkie życie. Tu w r. 1924 skończył I Polską Szkołę Podstawową, a w cztery lata później Polskie Gimnazjum. Tu też spędzał wakacje będąc studentem medycyny USB w Wilnie. Na pół sierota (ojciec odumiał go wcześniej) sam musiał dawać sobie radę w życiu. Zwłaszcza ciężko borykał się z niedostatkiem w latach studenckich, mimo to ukończył studia, poczem odbywał praktykę lekarską w szpitalach wileńskich. W tym okresie na wycieńczony organizm spadła choroba, z której już nie powstał.

W gronie kolegów i znajomych Umarły zostawił pamięć człowieka b. szczerego i prostego o sercu współczującym ludzkiej niedoli i o nieprzeciętnej inteligencji. Otwartość i bezpośredniość jednala Mu ludzi. Zgonowi Jego towarzyszy głęboki smutek tych, którzy Go za życia znali.

Cześć Ci, Kolego, niech ziemia, w której spoczniesz, będzie Ci lekką. (Z. I.)

Odpowiedzi grafologa

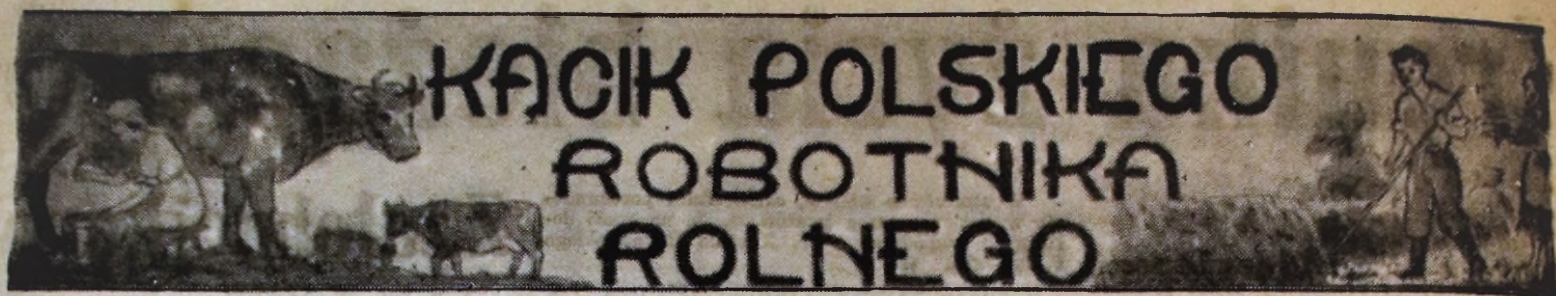
„Pączek” wiele zyska przyjaźni nadal u grafologa za wynętrzenie się. Tekst wcale nie obchodzi. Charakter „Pączka” wymaga wiele naprawy, ale cóż zrobić, kiedy warunki życia ma nie najlepsze. Ma krzyżową drogę, po której krocząc, często słabnie i upada na dachu. Grafolog wcale nie zajmuje się jasnowidzeniem i prorocstwem, tylko z pisma wynajduje braki i zalety. Jak niema róży bez kolców, tak nie mogą znaleźć dotychczas świętego charakteru. Tu jaskrawo występuje despotyzm, nerwy, skrytość. Epizodem z minionych dni można nazwać tragiczne przejście, przełomy duchowe i niepowodzenia w życiu. Zanadto dobrem zdrowiem też się nie odznacza. Cierpi nawet za wiele, boryka się ze swoją dołą, narzeka i płacze. Lubi na swoim postawić, ale zdolności do dopięcia celu nie posiada. No, proszę się przyznać i szepnąć na uszko grafologowi: przyrzekam poprawę!

Z tygodnia

— W **Ministrstwie Rolnictwa** odbyło się w dniu 4 b. m. zebranie poświęcone sprawie podniesienia dobrobytu Łatgalii. Zebraniu przewodniczył minister rolnictwa **J. Birznies**, ponadto obecni byli minister opieki społecznej **W. Rubuls** i wiceminister oświaty **J. Czamanis**.

Jak wynika z przemówienia **Ministra Rolnictwa**, w przyszłym roku w Łatgalii zostanie zwrócona baczniejsza uwaga na podniesienie produkcji rolnej oraz na wygląd zewnętrzny tej dzielnicy Lotwy przez przestrzeganie wznoszenia budowli w stylu lotewskim.

Minister **W. Rubuls** wskazał, że w budownictwie łatgalskim odczuwa się brak wykształconych odpowiednio rzemieślników i że w tym kierunku należy podjąć odpowiednie kroki.



Władysław Keymont

Jesień szła coraz głębsza

Blade dni wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz blade — niby te święte hostje w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach i w bolesnej cichości ziemi zamierajały; słońce blade i ciężkie wykwiłało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś znad zórz, leciały nisko nad polami i krakały glucho, długo, żałośnie... a za nimi biegł ostry, zimny wiatr, macił wody stężale, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom, pochylonym nad drogami, że spływały cicho, niby łzy — krwawe łzy umarłego lata i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie, wsie budziły się później: leniwiej bydlę szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy, przytłumione martwością i pustką pól, i ciszej, trwoźniej tętniło życie samo — a niekiedy, — przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną albo i te rogate, potężne lby podnosiły się od traw pożółkłych i, przezuwając zwolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żalony ryk tłukł się po pustych polach.

A co świtanie — mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsunowały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brodach a wrony siadały na kalenicach, to wieszały się na nagich drzewach, lub krążyły nad ziemią, kracząc glucho — jakoby pieśń zimy śpiewając żalosa.

Południa były słoneczne, ale tak marne i nieme, że poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki rozlegał się jak tkanie bolesne, a szczątki babiego lata rwały się niewiadomo skąd i przepadały w ostrych, zimnych cieniach chałup.

A smutek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w odartych z liści sadach czaiła się głęboka melancholija żalości i trwogi zarazem.

I często, coraz częściej niebo powlekało się burem chmurami, że już o letnim podwieczorku musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat...

Doorywano podłorówki, że niektóry kładł skibę, ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do domu, obcierał się jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na przedwieczery często spadały deszcze, krótkie były jeszcze, ale zimne

i coraz częściej przeciągały się do zmroku — do długiego, jesiennego zmroku, w którym jak kwiaty złote płonęły okna chat i szklity się kałużami puste drogi, a mokra, zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.

Nawet ten bociek z przetrąconem skrzydłem, co się był ostał, i którego widywano samotnie brodzącym po łąkach, przychodził jał pod bród Boryny, albo i zasię na samo podwórze, gdzie mu Wittek skwapliwie podrzucał na przynętę jadło.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te zwyczajne, prośalne, co z tobrą głęboką i pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków — a były i drugie, insze, takie, co od miejsc świętych ciągnęły — i znały Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwarię, a rade opowiadały długimi wieczorami, co się gdzie w świecie dzieje i jakie cuda się gdzie stały, a trafił się niekiedy i taki, którego pocichu powiadał się aż z Ziemi Świętej

i takie cudeńka prawił, takie kraje znał, przez takie wielgaczące morza jechał, tyła przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, i niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko... Ale chciwie słuchał, jako że każdy rad się czegoś nowego dowiedział, a i wieczory były długie i do świtu wypaść się jeszcze można choćby i na oba boki.

Hej! jesień to była, późna jesień! I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesolych, ni tego ptaszków pikania, ni nawoływań nie słychać było we wsi — jeno ten wiatr pojękujący w strzechach, jeno te dżdże, sypiące jakoby szklivem po szybach, i to glucho, wzmagające się co dnia bicie cepów po stodołach.

Lipce martwiały równo, jako te pola okólne, co wyczerpane, szare, odarte w odpocznieniu leżały i cichości tężenia; jako te drzewiny nagie, poskręcane, żalobne, drętwiejące zwolna na długą, długą zimę...

Jesień to była, radzona matka zimy.

Nasze porady

— W odpowiedzi na kartkę robotników z Kuldygi (bez podpisu i adresu) — Konsulat R. P. w Rydze wyjaśnia, co następuje:

1) Cały zarobek miesięczny można wysyłać do Polski tylko wtedy, o ile robotnik wraca równocześnie do Kraju — w innym wypadku można wysyłać tylko przepisane umową kwoty, t. j. co 3 miesiące 33 laty.

2) Chcąc na zimę zmienić miejsce pracy, trzeba w zgodzie i porządku rozjechać się z poprzednim swym gospodarzem, wymeldować się w policji, a na nowym miejscu pracy spisać umowę w tamtejszym biurze pracy (Darba birojs).

3) Chcąc jechać na pracę do Estonii, trzeba przede wszystkim mieć już tam zgodzonego pracodawcę, który uzyska pozwolenie na wjazd itp. Jechać zaś do Estonii w poszukiwaniu pracy jest wykluczone.

4) Konsulat przypomina, że robotnicy wracając do Polski nie powinni zabierać ze sobą latów, tylko tyle, wiele im jest niezbędne w czasie drogi potrzebne. Resztę zaś powinni przekazać pocztą przez Biuro Pracy, gdyż w ten sposób otrzymają nawet korzystniejszy kurs przeliczeniowy.

5) Przy przejazdach kolejowych robotników do Polski i spowrotem przysługują im zniżki kolejowe w wysokości

75% na kolejach lotewskich i 50% na kolejach polskich

Bilety kolejowe do stacji polskich nabycić można w kasach stacji kolei lotewskich.

Konsulat R. P. w Rydze komunikuje polskim robotnikom sezonowym w Łotwie, że podług otrzymanych autorytatywnych zapewnień, sprawa przeliczania zarobków robotniczych na walutę polską ma być w najbliższych dniach w sposób pomyślny załatwiona.

Dochodzą do nas wieści, że robotnicy, odjeżdżając do Polski, zabierają nieraz ze sobą nabyte tu rowery, maszyny do szycia, instrumenty muzyczne i t. d. Stał na granicy polskiej powstają dla robotników z tytułu ustawy celnej różne kłopoty i trudności.

Raz jeszcze zwracamy uwagę robotników, że wskazane wyżej przedmioty można wwozić do Polski bez cła tylko po dokonaniu formalności, o których niejednokrotnie już w „Naszym Życiu“ pisaliśmy. Wyjaśniamy również raz jeszcze, że cła mogą być zwalniane tylko te rowery, patefony i t. d., które zostały nabyte przez danego robotnika na rok przed dniem wjazdu z Łotwy. Fakt ten oraz czas nabycia ma być należycie udowodniony przez rachunek sklepu lub stwierdzenie policji poświadczony przez Konsulat R. P. w Rydze lub w Daugawpilsie.



SPRAWY GOSPODARCZE



Z praktyki Starego Rolnika

Jak zwiększyć nieśność kur. Jajoność naszych kur pozostawia dużo do życzenia, m. in. że wywóz jaj za granicę stanowi poważną rubrykę w naszym budżecie. W Danii przeciętnie kury znoszą po 200 jaj rocznie, u nas ledwie 70. A kura znosząca rocznie mniej niż 100 jaj nie opłaca swego wyżywienia, gdyż najmniej powinna znieść 120 jaj! Jeśli na pozór wydaje się, że kura stosunkowo mało kosztuje, gdyż żyje własnym przemysłem, „podjadając” obroki koni i krów — to takie rozumowanie jest błędne. 1) Straty takie są nieuchwytnie, gdyż trudno obliczyć na ile kury skrzywdzą inny inwentarz, wyjadając mu karmę; 2) zjadają karmę nieraz mało odpowiednią i wcale na jajoność nie wpływającą, a więc kura obniża swą produkcję i z czasem „dziecziej”; 3) zanieczyszczają swymi odchodami i pierzem karmę i złoży w poszukiwaniu jakiegoś pokarmu, co znów ze względów higieny nie powinno być tolerowane.

Żeby zwiększyć nieśność kur trzeba: Dobierać odpowiednie kury po dobrych zimowych nioskach, a hodując je na przyszłe nioski, dbać i o dobrego koguta po wczesnie wiosną niosących się kurach, a przy tym dobrych nioskach, zapewnić kurom ciepły, suchy, ale widny i z urządzeniem do przewietrzania, kurnik, z grzebaliskiem obok, odpowiednio żywić, dodając na rano i na wieczór ziarno, a w południe parowane ziemniaki z dodatkiem parzonych plew seradeli, czy konicznej, oraz otrąb, mączki mięsnej czy parzonej krwi bydlęcej, w końcu mleko odtłuszczone, twaróg i t. p. Mączka mięsna, czy krew bydlęca w zimie jest konieczna, inaczej za mało będzie białka w paszy na rozwój jaja (mączki mięsnej 10 gr. na sztukę, a w braku jej 20 gr. parzonej krwi). Prócz tego w zimie musi kura dostać zamiast świeżej zieleniny, pokrajanych buraków pastewnych, marchwi, czy też kapusty. Okopowe czy kapustę wieszać się nisko nad ziemią, by kury musiały nieco podskakiwać, a stąd zmusza je do ruchu. Na nieśność kur bardzo dobrze wpływa suszona pokrzywa, której wiązki zawieszają się nisko w kurniku, a także dodatek niewielkiej ilości do karmy ziarn słonecznika, siemienia konopnego i t. p. W ogóle w dziennej dawce kura ma dostać: ziarn różnych 50 gr., ziemniaków parowanych 50 gr., otrąb pszenych 40 gr., plew 20 gr. i mączki mięsnej 10 gr. Zapewnić kurom należy dostateczną ilość soli mineralnych w postaci kredy szlamowanej (1 gr. na sztukę), drobno tłuczonych skorupki z jaj, węgla drzewnego, jak też żwiru. Żwir w żołądku ptaka odgrywa rolę żarna, mielącego pokarm. Doskonale też wpływają na nieśność rozdrobione obuchem siekiery na kamieniu świeże kości, których można dać 20—30 gr. na sztukę.

W ostatnich czasach próby wykazały,

że dodatek jodu do karmy w postaci jodku potasu, poprawia znakomicie nie tylko smak jaj, karmę, ale i zwiększa o przeszło 10% nieśność. Dawka musi być minimalna i wynosi zaledwie około 3 mg. dziennie na sztukę.

By zapewnić sobie rentowność kur, trzeba pamiętać, że kury mają w sobie kilkaset zawiązków jaj. Im kura zniesie przedziej większą ilość jaj, tem przedziej ją się wybrakuje i zastąpi nioską lepszą, a i mięso wczesniej wybrakowanej kury lepsze, jako młodszego ptaka. Według Lienharta 10 kur zniosło w 1-ym roku ich nieśności 1.150 jaj, w 2-im 800 jaj, w 3-im 510 jaj, w 4-ym 262 jaja, a w 5-ym tylko 83 jaj. Stąd widać, że powyżej 3 lat nie opłaca się kur nieśnych trzymać, chociaż mogą być wyjątki.

Nakoniec pamiętając, że o rentowności kurnika decyduje w znacznym stopniu zdrowotność jego mieszkańców, — należy kurnik trzymać w czystości, często go dezynfekować, kury chronić od chorób i pasorzytów, a o dobrej wodzie do picia nie zapominać.

Rol

OPRZĘGANIE MŁODEGO KONIA

Przedewszystkiem trzeba pamiętać i za zasadę przyjąć, że przyuczanie koni do zaprzęgu powinno się zaczynać nie wczesniej niż po skończonych trzech latach. Czynność tę należy powierzać tylko ludziom doświadczonym i cierpliwym, ponieważ dalsze ich używanie i praca będą zależały od pierwszych początków oprzęgania.

Zanim zaczniemy oprzęgać młodego konia — należy go po ukończeniu dwóch lat przyuczać do normalnych ruchów, a więc na równym placu, bez żadnej upręży i bez przemęczania, konia należy oprowadzać i pędzać na linie długości kilku metrów i przytem obchodzić się z nim bardzo łagodnie, ażeby młode zwierzę nie znarowić; będzie to stanowiło ćwiczenia higieniczne.

Po skończonych trzech latach dopiero przystępujemy do zaprzęgania, przyczem z początku należy go zakładać z koniem starszym i wyrobionym, ażeby się przy nim przyzwyczaił do jazdy. Przed założeniem do wozu, czy do bryczki trzeba go przedtem oprowadzać w rękę przez jakiś tydzień, ubrawszy go w chomonto lub w szelkę i na głowę założywszy kantar; w ten sposób młody koń przyzwyczajając się zaczyna do upręży; uważać trzeba, ażeby wędzidło było dosyć grube, okrągłe i niekańczaste.

Nigdy nie należy obarczać go zbyt wielkimi ciężarami, co bardzo często bywa przyczyną potykań, upadków konia, powodujących złamania, obrażenia, skaleczenia, lub przepukliny.

W początkach nie powinno się jeździć w młodego konia dłużej niż 30—40 minut, a następnie stopniowo czas objeżdżania przedłużać i dochodzić do jednej godziny lub do półtorej godziny. Skoro koń stanie się już do pewnego stopnia wyrobionym, lepiej go potem zaprzęgać po dwa razy dziennie, aniżeli trzymać w zaprzęgu bez przerwy po kilka godzin.

Po skończonej jeździe, konia włożyć i przez czas pewien wolno oprowadzać aż ostygnie, poczem wprowadzić do stajni, zdjąć uprząż i wytrzeć całego suchymi wiechciami słomy, zaczynając od grzbietu, po zupełnem wyschnięciu i odpoczynku można konia napić i potem dać obroku.

Przy używaniu młodego konia do pracy, a szczególnie po drogach bitych, kamienistych, należy często zwracać uwagę na stan kopyt i badać, czy się gdzie nie załamały, czy strzałki się nie psują i t. p.

Co do sprawy podkuwania, to im dłużej młody koń może chodzić bez podków, o ile pracuje po miękkim gruncie, tem jest dla niego lepiej, ponieważ róg kopytowy wzmacnia się i hartuje, a także unika się zastrychowywania róg podkowami. Jeżeli zachodzi potem potrzeba podkucia, to najlepiej podkuwać go na lekkie płaskie podkowy bez haceli. Bardzo ważną jest rzeczą, ażeby pierwsze podkucie młodego konia było wykonane jak najlepiej, dokładnie, prawidłowo i bez żadnego zarzutu, dlatego też podkucie młodego konia dawać trzeba dobremu i doświadczonemu kowalowi, który przeszedł szkołę podkuwania koni.

Każdy koń młody, doszedłszy do pełni swojego rozwoju, jeżeli od źrebięcia nie był głodzony i żywiony dobrze, — może wytrzymać dużo pracy i trudu pod warunkiem, żeby o nim zawsze pamiętać, racjonalnie się z nim obchodzić, dobrze poznać jego siły i temperament i używać go do odpowiedniej pracy. Jeżeli wymagamy od konia cięższej pracy, pamiętać trzeba, że przed ukończeniem 3 lat koń jest jeszcze tylko starszem źrebięciem, organizm którego jsszeze dojrzewa i rozwija się.

Przedwczesne zużywanie i psucie koni — to strata podwójna: strata konia i strata kosztów jego chowu.

Z. Olszański
Lekarz wet.

W Daugawpilsie prenumeratę za „NASZE ŻYCIE“ można wpłacać na ręce p. Henryka Miż-Miszyna w poniedziałki, środy i piątki od godz 18 do 20 w lokalu Domu Polskiego —
Warszawas iela 30



Duby Smalone

HUMOR i SATYRA.



Gdy Whistler, malarz angielski, wystawił w Monachium na Wielkiej Wystawie Sztuki niektóre ze swych dzieł, jury, które go jeszcze nie poznały należycie, przyznało mu medal II klasy. Dowcipny malarz odesłał medal z krótkim listem: „Pozwalam sobie złożyć Wam podziękowanie II klasy”.

— Podobno pan zaczął uczyć się na fortepianie po skończeniu 50-go roku życia. Czy nie miał pan żadnych trudności?

— Owszem. Naraziłem sobie wszystkich sąsiadów.

— Strasznie z tą swoją żoną — skarży się Wacław. — Nie mogę jej odzwyczaić od późnego kładzenia się spać. Przed drugą nigdy nie jest w łóżku...

— Co robi do tak późna?
— Czeka aż wróce.

— Piotrusiu, jak ci się podoba twoja nowa siostrzyczka?

— Owszem, tatusiu, ale mieliśmy inne, potrzebniejsze rzeczy do sprawienia.

Z rozmowy dwóch bogatych przyjaciół:

— Wiesz, ty jednak jesteś uparty. Zosia pragnęła mieć samochód a ty jej kupiłeś kolję brylantową...

— Niestety, nie sprzedają fałszywych samochodów...

— Co robi twój ojciec?
— Chory — proszę pana nauczyciela.
— Chcę wiedzieć czem się zajmuje?
— Kicha.
— Nie mów mi co robi, kiedy jest chory, ale powiedz co robi, gdy jest zdrowy?
— Nie kicha, proszę pana nauczyciela.
— Czy nie możesz mnie pojąć smarkaczu? Chcę wiedzieć co robi twój ojciec, kiedy nie jest chory i kiedy nie kicha?
— Wtedy jest zdrowy panie nauczyciela.

— Dlaczego wkleiłeś moją fotografię do zeszytu szkolnego?

— Dlatego, że nauczyciel powiedział, że chciałby zobaczyć tego głupca, który mi pomaga w wypracowaniach domowych.

Nauczycielka tłumaczy dzieciom różnicę między dumną różą, a skromnym fiołkiem.

„A więc wyobraźcie sobie dzieci, że przechodzi ulicą przepiękna, elegancka dama, ale strasznie zarozumiała, która się nikomu nie kłania — a z nią idzie drobne niepozorne stworzonko, ze spuszczoną głową...

— Ja wiem, ja wiem, proszę pani — woła mały Karolek. — To jest jej mąż...

— Panie dyrektorze, czy mogę jutro przed południem zostać w domu. Żona potrzebuje mnie do generalnych porządków, muszę potrząść dywany...

— Wykluczone!
— Bardzo dziękuję. Wiedziałem, że mogę liczyć na pana dyrektora...

Knut Hamsun, słynny pisarz norweski, spotkał podróżując po kraju dawnego szkolnego koleżkę, z którym wdał się w pogawędkę o dawnych czasach. Obaj nie widzieli się od przeszło trzydziestu lat, więc tematu do rozmowy nie brakło. Mówiono przedewszystkiem o kolegach szkolnych:

— Podziwiam cię — rzekł największy pisarz norweski — ty znasz losy wszystkich naszych kolegów i wiesz o każdym...

— O każdym to znowu nie — odparł tamten. — Nie mam na przykład pojęcia czem ty się zajmujesz...

— Babciu, czy ty jesteś wampirem?!
— Nie — ale skąd ci to przyszło na myśl?
— A, bo tatuś mówi ciągle, że mu pijesz krew!...

Ryszard Wagner przyjmował często do oceny prace młodych kompozytorów. Pewnego dnia otrzymał pierwszą kompozycję jakiegoś obiecującego młodzieńca, z prośbą, by błędy zaznaczał krzyżykiem.

Wagner odesłał pracę bez jednego krzyżyka. Uszczęśliwiony młody człowiek popędził do niego natychmiast.

— Mistrzu — zawołał od proga — czyżby moja praca była istotnie bez błędów?
— To nie — odpowiedział Wagner — ale nie chciałem z pańskiego rękopisu robić ementarza.

I PRACUJ TU DLA KOBIETY!

Mija właśnie ćwierć wieku od popełnienia jednej z najbardziej fantastycznych kradzieży naszych czasów.

We Władystoku mieszkał niejaki Włodzimierz Storoskin, kolejarz. Zakochał się bez pamięci w pewnej dziewczynie, — i chciał dla niej zdobyć majątek. Na kolei — wiadomo — nie tak łatwo. Postanowił więc pomóc losowi.

Diubał więc z nieprawdopodobną cierpliwością pod gmachem rosyjskiego Banku Państwa podkop — a robota ta trwała sześć lat! Pracował zupełnie sam, obawiając się niedyskrecji ewentualnych współników. O zbrodniczych zamiarach narzeczonego nie wiedziała nawet jego ukochana.

W lecie roku 1911 podkop był gotów — i Storoskin, dostawszy się nocą do banku, zdołał ukraść ni mniej ni więcej — tylko 48 milionów rubli. Wyniósł ten skarb w kilku workach i zakopał starannie w swym ogródku. Późem, dla niepoznaki wcale nie zmieniał trybu życia... Przyczaił się i czekał.

Ale miłość do narzeczonej była silniejsza — i skusiła nieszczęsnika do sprawienia ukochanej kilku kosztownych prezentów: parę futer, piękny pierścionek. Wreszcie, w chwili wyznań poufnych — opowiedział swej dziewczynie, skąd ma pieniądze.

Kobieta — nie wytrzymała. Wygadała wszystko.

W parę dni potem Storoskin został aresztowany — a policja odnalazła jego skarb. Bank odzyskał prawie wszystko — z 48 milionów brakowało raptem kilkuset rubli.

Po odsiedzeniu paru lat więzienia włamywacz miłości ożenił się ze swą ukochaną — wrócił na swe skromne stanowisko kolejarza — i nigdy się nie kusił na nieuczciwe zdobycie majątku.

ODPOWIEDŹ BŁAZNA

Zdarzyło się, że nadworny błazen królowej angielskiej Elżbiety, nazwiskiem Pace, przebrał miarę złośliwości, za co został z dworu wydany. Po dłuższym dopiero czasie pozwoliła mu królowa pojawić się znowu w swojej świątyni.

— Cóż nowego nam powiesz — zapytała go z pobłażliwym uśmiechem królowa — może zechcesz znowu wytykać mi błędy i za wiele o nich opowiadać?

— Nie — odparł na to z powagą na twarzy i oburzeniem w głosie błazen — nie jest moim zwyczajem mówić o rzeczach, o których opowiada już całe miasto.

Przy egzaminie zadał Newton pewnemu kandydatowi pytanie: „Dlaczego ziemia się obraca?”

Stremowany i zaskoczony młodzieniec zaczął się jękać, w końcu wyksztusił:

— Ja wiedziałem... panie profesorze... ale teraz jakoś... zapomniałem...

— Nieszczęsny — zawołał wielki uczonec — na

całym świecie pan jeden wiedział dlaczego ziemia się obraca i właśnie pan musiał zapomnieć!...

Pewnen Szkot wyjeżdżając codziennie rano do miasteczka zabierał ze sobą koguta.

— POCO wozisz ze sobą tego koguta? — zapytał go jeden z sąsiadów. Czy codziennie go sprzedajesz i nie możesz sprzedać?

— Wcale nie zamierzam go sprzedawać. Zauważyłem tylko, że podczas karmienia konia zawam kilka ziarenek upadnie na ziemię. Gdy wiozę z sobą koguta ziarenka się nie marnuje i kogut się pożywi.

— W tem miejscu proszę państwa — mówi przewodnik — znajdowała się wieża, gdzie trzymano więźniów, skazanych na śmierć i przedtem torturowanych. Mury wieży były tak grube, że nie tylko jęki skazanych, ale najmniejszy dźwięk nie przedostawał się stąd na zewnątrz...

— Kochanie — mówi mąż do żony. — Mieszkamy tak blisko... Czy nasza Zosia nie mogłaby się tu uczyć śpiewu?

Kazio ma zazdrosną żonę. Po nowej scenie pociesza płaczącą małżonkę:

— Wierz mi kochanie, że dla mnie istnieje tylko jedna kobieta na świecie...

— Ach — żebym tylko wiedziała kto to jest, już jabym jej oczy wydrapała...

UPRZEJMOSĆ

Pewien pan siedzi u znajomych. Siedzi, siedzi i wcale nie myśli iść. Nadomiar złego zaczyna jeszcze głośno gwizdać.

Gospodarzowi robi się przykro.
— Proszę, niech pan przestanie gwizdać! Nie znoszę tego!

— Jaktó? Pan nie znosi gwizdania? Przecież pan mieszka przy kolei, a pociągi stale gwizdają?...

— No tak, ale jak pociąg gwizdże, to wiem, że odchodzi.

NASZE DZIECI

Rysio widział szkielet ludzki:

— Co to jest? — pyta.

— To są kości człowieka.

— A więc tylko mięso idzie do nieba?

Matka prosi 9-letnią pociechę o przypilnowanie gotującego się mleka. W pewnym momencie, pociecha, chcąc zakomunikować, że mleko kipie, krzykuje:

— Mamusiu!... Prędeży! Prędeży! Mleko jest więcej niż rondla!...

POD GAZEM

Wstawiony: „Hej, człowieku, a zawołajże m taksowę!”

Przechodzień (obrażony): „Nie jestem pańskim służącym! Jestem oficerem marynarki, mój panie.”

Wstawiony: „Przyjacielu kochany, nic nie szkodzi... To mi zawołaj torpedowic... Mnie to wszystko jedno... Aby się dostać do domu.”

CZY WIECIE, CO TO DOŻYNKI?

No, jakżeby! Śpiewy, tańce! I „plon niesieci plon”. I radość z dobrych zbiorów! I poczęstunek i zbratanie!

Tak jest ale nie wszędzie.

A w Niemczech np. — jest zupełnie inaczej.

Dożynki tegoroczne, dożynki oficjalne, państwowe, z udziałem najwyższych władz — to były śpiewki ani tańce, jak choćby w Spale. Były natomiast defilady czołgów, bombowych mołotów, i ciężkiej artylerji.

Wiadomo — ze zbożem tam coraz biedniej — zato z czołgami coraz obficiej.

Może i słusznie, że takie były dożynki...